

Kamena

LUBLIN 26.IV.1981 NR 9 (729)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0117-7194

CENA 3 ZŁ

Jak naprawiać ceny?

Michał Zieliński

W CALYM kraju trwają dyskusje ekonomiczne. Tematem szczególnie bulwersującym opinię publiczną są ceny. W listach do redakcji, sondach, wywiadach o zasadach polityki cen wypowiedzi się lekarze, ogrodnicy, krawcy, gospodynie domowe etc. Trudno się temu dziwić. Poprzez ceny i rynek każdy z nas kontaktuje się z rzeczywistością gospodarczą. Ponadto ceny są wyjątkowo wdzięcznym obiektem krytyki — nie mogą na nią odpowiedzieć.

Z pospolitego ruszenia dyskutantów niewiele jednak wynika. Gdyby zestawieć zgłaszane propozycje, to okazałoby się, że wzajemnie się znoszą. Te zaś, które w tym referendum zwyciężają — jak np. zamrożenie cen — są tyleż sympatyczne, co nierealne. Pamiętać trzeba, że ceny to instrument wyjątkowo niebezpieczny, przypominający bombę z opóźnionym zapalnikiem.

Dokończenie na str. 4—5

Henryk Makarski

strach ma kolor błękitny — jest plotem przestrzeni
wydostaje się z wnętrza ugorów — z płuc ziemi
zarośnięty chwastami — z beczynnej zadumy
tryska w zwolnionym tempie — złowieszco fałduje
jątrzy rany i pożar gorączki podsyca

przecierasz krwiste oczy — na baczność patrzące
a tu zatruty strumyk twojej świadomości
gorzka woda ucieka — występuje z brzegów
i pada na kolana przed miedzianym czołem
znów ten błękit i przestrzeń nie objęta strachem
krok marszowy topnieje — rytm dudni łagodniej
tyje okrągłe słowo i zastyga w pomnik

PRZECIWKO WYPACZANIU SPRAWIEDLIWOSCI

Roman Tokarczyk

W SRÓD różnych postanowień polskiej umowy społecznej problematyka przestrzegania zasad sprawiedliwości socjalistycznej zajmuje jedno z naczynych miejsc. Inicjatorzy polskiej umowy społecznej pochodzący z kręgów klasy robotniczej opowiedzieli się zdecydowanie za socjalistyczną koncepcją sprawiedliwości. Jednocześnie równie zdecydowanie obnażyli, potępili i odrzucili jaskrawe przejawy jej wypaczenia w polskiej praktyce społecznej zwłaszcza ostatnich kilku lat. Nie zawężając problematyki sprawiedliwości społecznej do jedynie sprawiedliwego podziału elementarnych dóbr powszechnie pożądanych, plastycznie ukazali ideologiczne, ekonomiczne, polityczne, a nawet i kulturalne jej strony.

Nie znajdziemy ideologicznych korzeni polskiej umowy społecznej w historii myśli politycznej. Poza ogólnymi rozważaniami Jana Jakuba Rousseau o związanej ze sprawiedliwością idei równości, myśliciele nie podejmowali po prostu zagadnień sprawiedliwości w kontekście umowy społecznej. Z tego też względu, a przede wszystkim z uwagi na socjalistyczne oblicze polskiej umowy społecznej, ideologiczne korzenie zarysowanego w niej programu sprawiedliwości osadzone zostały w marksizmie. Zmierzając do bliższej charakterystyki tego programu, przypomnijmy, chociażby najogólniej, treści podstawowych założeń teoretycznych, a także losy praktyczne w socjalizmie, marksistowskiej koncepcji sprawiedliwości społecznej. Przypomnienie to jest tym bardziej zasadne, że coraz szersze uznanie zyskuje sobie obecnie wezwanie powrotu do leninowskich norm życia partyjnego, najściślej powiązanych z przestrzeganiem marksistowskiej koncepcji sprawiedliwości.

Dokończenie na str. 4—5



Piękno na śmieciach — str. 7

Fot. Waldemar Stepień

z notatnika

9 IV. Tygodnik „Literatura” z 9 kwietnia. Na 2 stronie stała rubryka pt. „Peryskop”. A w niej wiadomość: „Ukazał się, w półmilionowym nakładzie, tygodnik „Solidarność”...”

Niżej inna stała rubryka pt. „Kronika kulturalna”, a w niej m. in.: „Z data 3 kwietnia ukazał się, oczekiwany od dłuższego czasu, pierwszy numer tygodnika „Solidarność”...”

Str. 13 w tejże „Literaturze”. Stała rubryka „Przebieg”. Na wstępie można przeczytać: „Ukazał się wreszcie na rynku tygodnik „Solidarność”. Z dawna oczekiwany, z już na zapas ulokowanymi w nim nadziejami ludzi...”

Trzy informacje w jednym numerze i w każdej z nich ten sam błąd. Nazwa nowego pisma brzmi bowiem „Tygodnik Solidarność”. A swoją drogą towarzyszu Putrament, czy w 34-osobowym kolegium redakcyjnym i zespole „Literatury” nie ma nikogo, kto by korygował całość numeru?

10 IV. Wczoraj ugrzązłem pod Radomskiem. Pomoc drogowa ściągnęła malucha do stacji Polmozbytu. Była godzina czternasta. Usłyszałem, że dziś nie mogą wziąć się do naprawy, bo w sklepie trwa inwentaryzacja.

Przepraszając (a jakże!), zaproponowałem mi, abym zjawił się następnego dnia o ósmej. Udało mi się zdobyć miejsce w hotelu (przy okazji kupiłem w sklepie żółty ser bez koleżki) i zjawiłem się w określonym terminie. Już wiedziałem, co dolega facytkowi: trzeba wymienić tarczę sprzęgła i przycisk. Niestety, i tarczę i przycisk „nie ma na składzie”. Otrzymałem jednak dobrą radę: poszukać w prywatnych zakładach. Wręczono mi kilka adresów. No i zdobyłem tarczę. Gorzej było z przyciskiem. Kupiłem go wprawdzie, ale miał już on swoje latka. „Pięć tysięcy kilometrów na pewno pan przejedzie”.

Kiedy w Polmozbycie maluch przechodził kurację, pogwarzyłem sobie z kierownikiem stacji. Przeuroczy człowiek. „Gdyby pan miał te stacje w agencji, byłoby lepiej?” — zapytałem. „Ba...” — rozmarzył się. Ja również...

Do Lublina dojechałem bez przeszkód. A po drodze w GS-ie kupiłem kilka paczek papieru maszynowego. Podróże nie tylko kształca...

11 IV. Obejrzałem w telewizji bądź wysłuchałem w radiu całej debaty sejmowej, która zakończyła się właśnie — kilka minut przed północą. „Jest źle, a może być jeszcze gorzej. Ale mimo wszystko w tym tunelu widać światło nadziei...” — cytuję z pamięci słowa premiera Wojciecha Jaruzelskiego.

Mam nadzieję, że nie jest to światło robaczka świętojańskiego. Z trybuny sejmowej mocno zabrzmiały zwłaszcza słowa wypowiedziane przez posła Edmunda Osmańczyka. Rzeczywiście fenomenem w historii Polski Ludowej jest to, że nie mieliśmy dotąd ani jednego rządu, który by wykazał większe zainteresowanie do stabilizacji polskiego złotego. Trudno, aby obecny rząd poradził sobie z tym problemem. Ale próbować trzeba... Sejm w TV stanowił pajsonujące widowisko, chociaż niektórzy postawie starają się wyraźnie mówić „pod publiczkę”. Specjalnie się temu nie dziwię, chociaż mam własne zdanie na ten temat.

15 IV. Otrzymałem znowu trzy listy, wszystkie trzy bez adresów, a więc w gruncie rzeczy anonimowe, bo ja też mogę podpisać się „Henryk Drozdowski”, „Andrzej Bobrak” czy nie podpisać wcale. W listach tych poza różnymi wyzwiskami właściwie niczego konkretnego nie ma. Jeden czytelnik atakuje Żydów (to majlatwiej), przy okazji zapytując, czy ja nim nie jestem? Nie, a gdybym był, to co? Powinienem być spłonąć w piecach Treblinki? Epitet, które autor serwuje pod moim adresem, powinien zwiokrotnić i obdarzyć nimi swą osobę. Z kolei p. „Henryk Drozdowski” ujmuje się za pewnym profesorem, którego decyzyja w sprawie strajku spoikała się z moją (jakże delikatną) krytyką. Do czego to dochodzi? Znowu mamy być wszyscy jednomyślni, chociaż tę dawną jednomyślność na pewno p. „Drozdowski” potępia? Każda epoka historyczna ma swoich krzykaczy. A wcale nie znaczy, że właśnie ten, kto krzyczy najgłośniej, ma akurat rację.

„Andrzej Bobrak” wydaje mi się postacią znajomą, aczkolwiek ta znajoma postać nosi w rzeczywistości zupełnie inne imię zupełnie

Inne nazwisko. W liście m. in. przebijają zawiesz, że drukujemy wiersze X-a, Y-greka, a nie drukujemy utworów „Bobraka”. Co zaś do publicystyki, Pana zdaniem, w „Kamieniu” fatalnej... Pokaż Pan, jak się pisze w takich np. „Barwach” drukuje artykuły Henryk Gaworski. „Barwy” są miesięcznikiem społeczno-kulturalnym, ukazującym się w Warszawie, bez żadnego nagłówka w postaci np. „Pismo PZPR”, który to nagłówek ma „Gazeta Krakowska”. Otóż ów Henryk Gaworski w 4 n-rze „Barw” stwierdza m. in. (w artykule pt. „Diabeł ubrał się w ornat...”):

„A przecież „Solidarność” z sierpnia czy września roku 1980 nie ma już nic, ale to nie wspólnota z „Solidarnością” z marca czy kwietnia roku 1981. Na wysokości, szlachetnej u swoich urodzin fall robotniczego sprzeciwu wobec zbrodniczych wręcz wynaturzeń naszego życia, wobec dewastacji najpiękniejszej, bo poczętej z potrzeby robotniczych pragnień i marzeń idei socjalizmu, wypłynęli na wierzch liczni zimni, wyrachowani karierowicze, wykorzystujący „Solidarność” dla celów biegunowo przeciwnych jej początkowym założeniom. A jest to jeden z najlagodniejszych zarzutów, jakie tym ludziom można postawić. [...] We wszystkich podstępnych i bezcelnych działaniach wielu przywódców „Solidarności” jedno musi budzić najwyższą pogardę i jednocześnie najostrzejszy sprzeciw — nadużywanie symbolu sercu każdego Polaka najświętszego — narodowej flagi. Pod tym względem rozpasanie doszło do szczytu. Przy każdej okazji, nawet najbardziej bzdurnej, a najczęściej bez żadnej okazji, różni „patryoci” zakładają na rękawy biało-czerwone opaski i wywieszają flagi w miejscach i w czasie najmniej do tego predestynowanych. [...] Jaki amok ogarnął nasz piękny naród, że na to pozwalamy? Jaki rak toczy nasze społeczeństwo, że w rzeczywistych bólach naszego życia nie dostrzegamy cynizmu i technostwa tych, którzy biało-czerwienią frymarczą? [...] Flaga narodowa jest nierozdzielnie związana z suwerennością narodu, z prawem do jego państwowości i niepodległego bytu. Kto po nią sięga, zagrożając suwerenności, państwowości i niepodległości bytowi narodu. A właśnie sięgając po nią wodzowie „Solidarności”, Ci samozwańcy wodzowie, których w większości nie było jeszcze na świecie wówczas, gdy zawieszali ją na masztach żołnierze Września, żołnierze spod Narwiku, Tobruku i Monte Cassino, żołnierze spod Lenino, Warszawy, Kolobrzegu i Berlina, partyzanci Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich, Gwardii i Armii Ludowej, powstańcy Sierpnia — i gdy za prawo do jej posiadania płacili się własnym życiem. I ta właśnie flaga ma dziś służyć nie narodowi przecież, lecz prywatnej sprawie nieodpowiedzialnych uzurpatorów, niewyżytych, aczkolwiek bez miary rozbudzonym ambicjom ludzi, którzy się klasy robotniczej, jej determinację i wolę rzeczywistej odnowy, w konsekwencji swoich poczynań kierują ku niewyobrażalnej tragedii...”

Powtarzam: słowa te napisał w „Barwach” Henryk Gaworski. Ma takie zdanie i otwarcie je wyraża, aczkolwiek wielu przecież ma również prawo mieć opinię zupełnie odwrotną. I na tym polega demokracja, której, niestety, uczyć się musimy od podstaw. A dla wielu często ten, kto ma zdanie odmienne, to zaraz „twardogłowy”, „beton”, „stalinowiec” i diabeł wiedza, co jeszcze. Osobiście zajmuję pozycję centryczną i z poglądami Gaworskiego mógłbym polemizować, ale tak samo mógłbym polemizować chociażby z listem otwartym, jaki do Lecha Wałęsy wystosował Andrzej Gwiżdź. Wałęsa słusznie odpowiedział jednak Gwiżdżowi: „Pisanie listów otwartych zostawmy sobie na czas emerytury”.

16 IV. Pewien odpowiedzialny pracownik ma pełnić w pierwszy dzień świąt dyżur w pewnej bardzo odpowiedzialnej instytucji. Drwoni do sekretarki najbardziej odpowiedzialnego zwierzchnika z pytaniem: „A kawa przynajmniej będzie?”. „Będzie, ale cukier musimy mieć swój”.

Kawa, jak wiadomo, w naszym kraju nie rośnie...

17 IV. Dzisiejsze „Życie Warszawy” informuje o cenach na mięso i drób, cenach, jakich żądano na targowiskach warszawskich przed świętami. I tak schab, jeśli był, ceniono 350—400 zł za kg, a w końcu sprzedawano jeszcze drożej od szynki (ok. 300 zł za kg). Wołowina bez kości kosztowała 300 zł za kg, zaś dudki czyli plucka — 80—100 zł/kg, tyleż samo nerki i ryj. Wą-

troba — do 200 zł/kg, a oźór 150 zł/kg. Cena słoniny ustabilizowała się na poziomie 100—130 zł/kg.

A teraz drób. Kury i koguty kosztowały od 350 do 500 zł, indyżki — od 600 do 900 zł, a indyki — od 1000 do 1600 zł. Na Bazarze Różycyckiego za indyki ceniono i... 2000 zł! Inaczej mówiąc trzy indyki równa się jeden telewizor, oczywiście ten najtańszy. Sądzę, że już nie tylko dogoniłimy w porównaniu cen Zachód (choć tam ceny żywności też przecież nie są tamte) ale go przegoniłimy.

W Lublinie ceny na targowiskach były nieco niższe, ale widziałem, jak sprzedawano żywe kury oskubane z piór. Chęć ludzka nie zna granic.

Tymczasem po mięso na kartki ciągnęły się w czwartek i piątek długie kolejki. Zła organizacja handlu? Ludzie zwlekali z zakupami do połowy miesiąca? Nie odpowiadał na te pytania, ale... W księżce telefonicznej naliczyłem 51 sklepów mięsnych. Iu mieszkańców liczy nasze miasto? Ponad trzysta tysięcy. Jeśli dodamy te sklepy mięsne, które telefonów nie mają (nie sądzę, aby ich było więcej niż 20), jeśli odejmiemy niemowlęta, którym mięso nie przysługuje, wypadnie na jeden sklep i tak ok. 3—4 tysięcy klientów. I jak tu nie stać.

Smutne to wszystko, zwłaszcza, że i sklepy spożywcze straszą pustkami. A na śmietnikach leży chleb. Nie wiem, kiedy wyrwemy się z tego błędnego koła.

18 IV. W Warszawie odbyło się kolejne posiedzenie Komisji Zjazdowej PZPR. Znamy już projekt zmian i uzupełnień w statucie partii, projekt mający na celu rozwój centralizmu demokratycznego i demokracji wewnątrzpartyjnej. Ostateczna wersja projektu narodzi się po X Plenum KC, które ma się odbyć jeszcze w tym miesiącu. Później, prawdopodobnie łącznie z założeniami programowymi przygotowywanymi na IX Zjazd PZPR, projekt poddany zostanie wewnątrzpartyjnej ocenie.

Na posiedzeniu odbyła się dyskusja, którą — według streszczenia poszczególnych wypowiedzi w dzisiejszej „Trybunie Ludu” — można uznać za dość kontrowersyjną.

I tak np. Stanisław Janicki, kierownik zakładu w Akademii Medycznej w Gdańsku oświadczył, że mandat na konferencję powinien zachować swą ważność przez całą kadencję, w czasie której co roku odbywać się winny konferencje, czy też sesje zjazdowe. Stworzy to — zdaniem mówcy — członkom partii praktyczną możliwość realizacji uchwał Zjazdu przez ich mandatariuszy. Inny pogląd wyraził Ludwik Maźnicki, I sekretarz KW PZPR w Zamościu. Oświadczył on: „Jestem przeciwny utrzymywaniu mandatów delegata przez cały okres kadencji. Po prostu uważam, że we wniosku tym kryje się obawa, że wybierzemy komitet, któremu nie można w pełni od razu wierzyć, który trzeba ograniczyć w kompetencjach”.

Prosto z mostu wypowiedział się na temat statutu Stanisław Górny, starszy mistrz w PZL „Hydrał” we Wrocławiu:

„Dostaliśmy do wniosku, że gdyby ten statut był nawet idealnie napisany to, niestety, może on zostać tylko ładnie napisany na papierze. Chodzi o to, ażeby w życiu, na co dzień, ten statut był potrzebny, żebyśmy do niego zaglądali, przynajmniej raz na tydzień, tak jak niektórzy obywatele naszego kraju robią w niedzielę rachunek sumienia. Szczególnie dotyczyłoby to wszystkich tych towarzyszy, którzy pełnią jakiegokolwiek funkcje w naszych instancjach partyjnych. Byłoby potrzebne nie tylko wtedy, kiedy przyjmujemy nowych członków do partii i pytamy: a statut partii, to wy towarzyszu, znacie? Mam wrażenie, że gdyby pytanie to padło w odwrotną stronę, byłoby kłopoty z odpowiedzią...”

Właśnie!

20 IV. W południe wstrząsający reportaż w telewizji nakręcony i nie puszczony przed trzema laty: stara kobieta lasuje wapno. A panowie siedzący za biurkami bez zmużenia oka stwierdzają, że potrafi tak pracować od szóstej do dwudziestej, a oni trzeszcza się o nią, dostarczając dodatkowe mleko i cukier celem regeneracji sił.

Po obejrzeniu takiego reportażu lepiej rozumie się, dlaczego musiał przyjść Sierpień!

M. A. Jaworski

NA EKSPANS

Trzy kornery — karny!

ZACZYNAJĄC pisać „ekspansę”, zamierzam być poświęcić problematyce gospodarczej. Coraz częściej odstępując od tego zamiaru, wdaję się w polemiki prasowe. Wyjaśnienie jest proste. Gdy patrzę na gospodarkę, to widzę ją w czarnych barwach, ale gdy spoglądam na to, co się dzieje w prasie, to wydaje mi się, że z gospodarką nie jest wcale tak źle. Co więcej — jeżeli wierzę w odnowę gospodarki poprzez reformę, to o odnowie prasy będę przekonany po prostu wtedy, gdy zmartwychwstaną: „Nowa Kultura”, „Przebieg Kulturalny”, „Świat”, „Ty i ja”, „Współczesność”. Śmierć tych czasopism miała różne oblicza. Niektóre z nich zastąpiono innymi. „Nową Kulturę” i „Przebieg Kulturalny” zjednoczono w „Kulturę”, co — podobno — miało być pierwszym krokiem do dalszej koncentracji (m.in. połączenia „Kultury” i „Polityki” w „Politurę”). Ta chimeryczność pism, o dziwo, nie dotknęła „Kamienia”, najstarszego dzisiaj periodyku kulturalnego w Polsce. Złośliwi twierdzą, że za długowieczność „Kamienia” obecny naczelny, jak Faust, zapłacił duszą. Osobiście w to nie wierzę, gdyż biorąc pod uwagę zmienność decydentów, musiałby być najbardziej wielkodusznym człowiekiem w tym kraju.

Ba, ale byli decydenci, którzy akcję komasacyjną chcieli rozciągnąć na dzienniki. W proponowanym przez nich modelu wychodziłaby jedna gazeta w mutacjach różniących się tylko wiadomościami lokalnymi. Powyższy pomysł uważam za słuszny i sądzę, że źle się stało, iż utonął on w odmętach odnowy. Moje skrupulatne wyliczenia wskazują bowiem, że około połowy zawartości gazet stanowią komunikaty PAP-owskie. Warto uzmysłowić sobie wysoki koszt, jaki płacimy za przywilej czytania różnych tytułów dzienników. Czy w dobie kryzysu energetycznego i nieurodzaju stać nas na taki luksus?

Są, oczywiście, złośliwcy, którzy twierdzą, że można by drukować gazety w oparciu o informacje własne, nie posilając się anonimowymi ściągawkami z agencji. Zwłaszcza, jak twierdzą wyjątkowo złośliwi, że treść wielu komunikatów PAP co nieco dezinformuje. Ludzi wyjątkowo złośliwych szczególnie oburzył komunikat o tym, że działania na rzecz związku rolników mają charakter nielegalny. Posługując się znajomością prawa (uzyskaną dzięki pomocy stypendialnej) wskazują na dwuznaczność terminu nielegalny. Znaczy on: „sprzeczny z prawem” lub „nieregulowany przez prawo”. Sąd użył go w tym drugim znaczeniu, gros czytelników odebrało w pierwszym. Nielegalny — jako nieregulowany prawnie — jest również konkubinat. Wyobrażam sobie, ile stresów odczuli by żyjący „na kocią łapę”, gdyby dowiedzieli się, że ich działania są nielegalne.

Podobnym grzechem (anonimowości) są częste publikacje niepodpisane lub podpisane kryptonimem. Nie wiem dlaczego, ale lektura ich wywołuje u mnie przeświadczenie, że autor ma nieczyste sumienie. A przecież pisał Renan: „Sumienie pisarza powinno być spokojne, skoro tylko przedstawił jako pewne to, co pewne jest; jako prawdopodobne, co prawdopodobne; jako możliwe, co możliwe”. Jak niebezpieczne jest posługiwanie się kryptonimem, niech świadczy nie tak dawny przypadek „Sztandaru Ludu”, gdzie dwóch panów pobilo się o kryptonim „Zeta”. Co swoją drogą dziwne, bo gdy laureat nagrody Nobla opatrzył czterech pisarzy polskich greckimi literami, to nikt się nie chciał przyznać, że to on jest bohaterem. A teraz w „Sztandarze” dwu dziennikarzy bije się o jedną literę grecką. Ale się narobiło, jak mawia Pietrzyk.

Dziennikarstwo przypomina trochę sport, a konkretnie podwórkową piłkę nożną, w której gracze są zarzem arbitrami. Przepisy inne niż w futbolu: gra się do sześciu goli, potem zmiana boisk, a trzy kornery zamieniamy w jedenastkę. Na dziennikarskim podwórku bryluje, jako prawoskrzydłowy i sędzia, Jerzy Urban. Nie tak dawno włączył się w akcję: „Sztandar Ludu” kontra biuletyn MKZ. Odgwiżdzał faul biuletynu, po czym udzielił żółtej kartki red. J. Porębskiemu ze „Sztandaru”. Nie wnikać w sam przebieg akcji, którą znanie państwo z komentarzy prasowych, chcę zwrócić uwagę na uzasadnienie werdyktu Urbana. Otóż odnotował on w swoim sędziowskim notesie nazwisko zawodnika nie za nieczyste zagranie, lecz dlatego, że będąc w dogodnej sytuacji strzeleckiej, oddał — zdaniem Urbana — strzał niecelny. I to jest pewne novum (?) w polemikach dziennikarskich. Od teraz można już krytykować autorów nie tylko za to, co napisali, ale także za co czego nie napisali: Andrzejewskiego nie za „Popiół i diament”, a za to, że nie napisał dalszego ciągu „Pana Tadeusza”; Wajdę — że nie nakręcił „Hair” itd., itd.

Nie byłby to może ów trzeci róg decydujący o karnym, gdyby nie fakt, że w tym samym numerze, tego samego pisma, ten sam autor sformułował tezę, iż dla swobody wypowiedzi w Polsce ważniejsze od dobrej ustawy o cenzurze jest, by tej swobody nie kępowały redakcje. Krakowskim (warszawskim?) targiem — niech będzie zgoda. Co jednak powiedzieć o tych, którzy starają się narzucić innym, co i o czym mają pisać?

emzet

Jak naprawiać ceny?

Dokończenie ze str. 1

kiem. Im bardziej odsuwamy moment wybuchu, tym jest on silniejszy.

Aby bliżej rozemnieć się w możliwościach zmian polityki cen, warto pokrótce przypomnieć zasadnicze modele rynku. Ogólnie wiadomo, że rynek przeszedł ewolucję od swobodnej konkurencji do systemów podziału sterowanego w postaci: rynku monopolistycznego kontrolowanego przez państwo (w krajach zachodnich) oraz dystrybucji opartej o państwowy monopol stanowienia cen (w większości krajów socjalistycznych, w tym i w Polsce).

W nieistniejącym już nigdzie dzisiaj systemie wolnorynkowym ceny są wypadkową popytu i podaży. Wysokie ceny wytwarzanych w niedostatecznej ilości dóbr uruchamiają procesy inwestycyjne, prowadzące po pewnym okresie do wzrostu produkcji. Spadek cen dóbr wytwarzanych w nadmiarze hamuje ich produkcję. Ten mechanizm weryfikacji rynkowej prowadzi do — krótkotrwałego na ogół — ustalania ceny na poziomie równym wartości towaru. Taka cena, przy której sprzedane zostają wszystkie wytworzone produkty, określana jest jako cena równowagi. W miarę sprawne dochodzenie do cen równowagi możliwe było jedynie przy spełnieniu warunków wolnej konkurencji. W sytuacji monopolistycznej producent może celowo zmniejszać produkcję dla podbicia ceny. I przy bardzo wysokiej cenie będzie sprzedawał pewną ilość produktów, gdyż zawsze znajdzie się grupa ludzi dostatecznie bogatych. Taka wysoka cena zrównoważy efektywny

popyt ze sztucznie zaniżoną podażą, nie jest jednak ceną równowagi. Cena równowagi powstaje bowiem tylko wtedy, gdy przy wzroście cen producenti zmuszeni są do zwiększenia produkcji, co z kolei spowoduje obniżenie owoych cen.

Celowo przytoczyłem to krótkie przypomnienie zasad działania rynku w wolnej konkurencji i monopolizmie. Wyjaśnia ono podstawowe nieporozumienie toczących się u nas dyskusji, polegające na nieodróżnianiu ceny równowagi od ceny bieżąco zrównoważającej popyt z podażą. Nawoływanie do podniesienia ceny np. małego fiata do 200 tys. zł (bo rzekomo byłaby to cena równowagi) opiera się na błędzie. Nie byłaby to cena równowagi, gdyż jej podniesienie nie wpłynęłoby na podniesienie podaży samochodów. Podaż samochodów nie wzrosła, albowiem w naszym dotychczasowym systemie zarządzania gospodarką brak jest jakiegokolwiek zależności między kształtowaniem cen a dopływem czynników produkcji (maszyn, surowców i ludzi).

Z przytoczonej zasady działania monopolu nie wynika, że we współczesnych gospodarkach kapitalistycznych trwa permanentny proces hamowania produkcji i śrubowania cen. Gospodarki te znacznie ograniczyły konkurencję, ale jej nie zlikwidowały. Poza tym wprowadzonych zostało szereg ograniczników wzrostu cen. I wreszcie prawo malejących kosztów przy wzroście skali produkcji czyni bardziej oplatną produkcję masową i reklamę niż podbijanie cen.

Jak — rezygnując z zasady swobodnej konkurencji — może rozwiązać

problem cen gospodarka socjalistyczna? Są tu dwie drogi — rynkowego lub administracyjnego stanowienia cen. Nie wykluczają się one w pełni, gdyż zawsze istnieje grupa towarów, których ceny ustalane są w specjalny sposób. Nie ma także możliwości zupełnego abstrahowania od sytuacji rynkowej. W praktyce alternatywa powyższa sprowadza się do wyboru między sytuacjami, w których: ceny kształtują producenci, a organa państwowe wkraczają z korektami, gdy jest to potrzebne, albo też ceny są arbitralnie ustalane przez organa państwowe i następnie korygowane pod presją rynkową.

Pobieżne spojrzenie na tę kwestię może sugerować, że różnica sprowadza się jedynie do kolejności działań. W rzeczywistości różnice są głębsze. Rozwiązanie pierwsze wymaga, aby cena spełniała w gospodarce rolę aktywną. Oznacza to konieczność przyjęcia zysku za miernik przedsiębiorstwa oraz uzależnienia plac od poziomu tego miernika. Ponadto jeżeli chcemy, aby ceny zmieniały się nie tylko w górę, lecz czasem i w dół, istotną część nakładów inwestycyjnych musi być pozostawiona w gestii producentów. Wywołuje to dalsze konsekwencje dla działalności Centrum, utrudnia realizację jego własnych celów i zmusza do posługiwania się nieadministracyjnymi środkami dla realizacji polityki gospodarczej.

Konsekwencje zasady, że przede wszystkim państwo stanowi ceny, są również głębokie. Zmusza Państwową Komisję Cen do rozstrzygnięcia trzech kwestii: jak określić koszty wytworzenia, jak ustalić akumulację na poszczególne wyroby i jak podzielić ją między budżet i przedsiębiorstwo. Podczas pierwszej fali krytyki administracyjnego ustalania cen — jaka miała miejsce w latach 1955—1958 — najwięcej uwagi poświęcono problemowi akumulacji jednostkowej, czyli na poszczególne towary. Proponowane wówczas koncepcje tzw. „ceny wyjściowej” sprowadzały się do tego, aby akumulację ustalać jako pewien procent kosztów produkcji lub ich części

(np. robocizny). Wszystkie owe koncepcje miały tą wadę, że tworzyły antybodźce do obniżki kosztów produkcji.

Doświadczenia późniejsze wykazały, że problem urealnienia kosztów jest w ogóle kluczową kwestią ustalania ceny. Przy każdej formule ceny, biorącej za podstawę koszty wytworzenia, powstaje tendencja do ich podwyższania. Tendencja ta związana jest z elementami monopolizmu istniejącymi w naszej gospodarce. Przejawiają się one w:

— państwowym monopolu wytworzenia większości produktów, który powoduje, że państwowe przedsiębiorstwo nie konkuruje z innymi (korzystne formy nawet ulomnej konkurencji widoczne były przy istnieniu przemysłu drobnego zarządzanego przez rady narodowe; w pewnym sensie korzystna jest też rywalizacja między sektorem indywidualnym i państwowym w rolnictwie, pokazuje ona bowiem niską efektywność PGR);

— państwowym monopolu handlu zagranicznego (przy preferencjach dla inwestycji powodował on, że przedsiębiorstwom krajowym nie zagrażała konkurencja dóbr z importu);

— techniczno-organizacyjnym monopolu producenta, co wynika stąd, że większość asortymentów wytwarzanych jest przez jedno przedsiębiorstwo (skłonność do koncentracji powodowała, iż nawet wtedy, gdy producentów było kilku, jednoczono ich w kombinatach lub zjednoczeniach i w takim przypadku traciło sens pojęcie przeciętnych krajowych kosztów wytworzenia, były to bowiem koszty, jakie występowały w jednym przedsiębiorstwie).

Wymienione czynniki powodowały, że przedsiębiorstwo mogło naciskać na Centrum w kierunku podwyższania cen ze względu na „obiektywne podwyższenie kosztów produkcji”. W najlepszym przypadku producent nie dążył do ich obniżki. Preferowanie funduszy premiowymi obniżki kosztów jest nieskutecznym rozwiązaniem problemu. Zawsze łatwiej zwiększyć zysk, podejmując produkcję droższych asor-

PRZECIWKO WYPACZANIU SPRAWIEDLIWOŚCI

Dokończenie ze str. 1

Najogólniej rzecz biorąc, marksistowskie ujęcie sprawiedliwości charakteryzuje ścisły jej związek z życiem ekonomicznym społeczeństwa, klasowe podejście do podmiotu będącego w stanie nadać teorii praktyczny kształt, sytuowanie zagadnienia w sferze konkretnego i realnego humanitaryzmu oraz powiązanie z potrzebami najszerzych rzesz społeczeństwa. Jest to ujęcie sprawiedliwości socjalistycznej jako szczególnych stosunków społecznych, opartych na zasadzie równości względem siebie ludzi świadczących równą pracę lub posiadających równe potrzeby elementarne oraz na zasadzie umiarkowanych nierówności względem nierównych sobie jednostek z uwagi na wskazane kryteria pracy i potrzeb. Egzystencja oparta na owocach własnej pracy i rozporządzaniu nimi przez samych pracowników zgodnie z ich wolą i interesem — to węższe rozumienie sprawiedliwości w marksizmie. Szersze rozumienie tego pojęcia zawarte jest w marksistowskiej koncepcji człowieczeństwa. Polega ono na przyznaniu każdej jednostce prawa do czerpania z dóbr społecznych według własnych potrzeb z tytułu przynależności do gatunku ludzkiego.

Twórcy marksistowskiej koncepcji sprawiedliwości dostrzegali liczne słabości zasady: każdemu według jego pracy, pojmowanej w egalitarnym duchu. Potykają się też o to stale sygnatariusze polskiej umowy społecznej. Stosowanie bowiem jednakowej skali do różnych ludzi, którzy w rzeczywistości nie są jednakowi, jest pogwałceniem sprawiedliwości. Zgodnie z zasadą: każdemu według pracy, każdy, kto odrabia taką samą część pracy, miałby otrzymać taką samą część produktu społecznego. Ale przecież ludzie nie są sobie równi, jeden jest silniejszy, inny słabszy, jeden jest żonaty, inny nie, ten ma więcej dzieci, tamten

mniej. W konsekwencji równej pracy i równych za nią wynagrodzeń, lecz przy różnych potrzebach pracujących, które wynikają z różnej ich sytuacji społecznej, jeden otrzymuje praktycznie więcej niż drugi. Aby tego uniknąć, wynagrodzenia zamiast być równe, powinny być zróżnicowane zgodnie z zasadą: każdemu według jego potrzeb. Jednakże sprawiedliwość oparta na tej zasadzie może być luksusem społeczeństw bardzo bogatych. Wbrew natomiast uprzejmości propagandy sukcesu z minionego okresu, wątpliwa jest przynależność naszego kraju nawet do tzw. wysoko rozwiniętych państw socjalistycznych.

Nie było celem robotniczych sygnatariuszy polskiej umowy społecznej rozważanie niezwykle trudnych teoretycznych zagadnień sprawiedliwości. Przede wszystkim, nawiązując do tradycji myśli i praktyki rzeczywistości socjalistycznej, potwierdzili dążenie do równości sytuacji społecznej jednostek równych sobie, jako najważniejszą chyba w potocznym odczuciu cechę socjalizmu. Dążenie do takiej równości w sferze socjalnej, politycznej, ekonomicznej i dostępu do dóbr kulturalnych uznali za podstawę zdrowej demokracji socjalistycznej. Położyli nacisk na równość szans, które ustrój socjalistyczny mógłby otwierać przed ludźmi, jak i rzeczywistość nierówności warunków bytowych, w których ludzie żyją. Odwołali się do państwa o chlubną nazwę socjalistyczne zarówno grup egzystujących poniżej tzw. minimum socjalnego, jak i grup przekraczających jakieś wyobrażalne maksimum socjalne, leżące w sferze obecnej naszej kultury bizantyjskiej ekstrawagancji konsumpcyjnej.

Robotniczy sygnatariusze polskiej umowy społecznej odwołali się do niesprawiedliwości w zakresie karmienia narodowego bochenka chleba. Nie dowierając wielokrotnie powtarzanym w naszej najnowszej historii deklaracjom ze strony władz, w nowych związkach zawodowych dostrzegli obrońców swych społecznych i materialnych interesów. „Nowe związki zawodowe — czytamy w porozumieniu gdańskim — winny mieć realną moż-

liwość publicznego opiniowania kluczowych decyzji determinujących warunki życia ludzi pracy: zasad podziału dochodu narodowego na konsumpcję i akumulację, podziału funduszu konsumpcji społecznej na różne cele (zdrowie, oświatę, kulturę), podstawowych zasad wynagradzania i kierunków polityki plac, a szczególnie zasady automatycznej korektury plac w warunkach inflacji, wieloletnich planów gospodarczych, kierunków inwestycji oraz zmiany cen”. Obok tych fundamentalnych stwierdzeń mających przywrócić sprawiedliwości jej socjalistyczny sens w perspektywie szerszej, pochweli władze do natychmiastowego usuwania jaskrawych przejawów niesprawiedliwości społecznej. Jakże oczywiste w państwie mieniącym się socjalistycznym wydają się żądania zniesienia przywilejów pewnych grup zawodowych. Jakże oczywiste są żądania zapewnienia minimum socjalnego w państwie, w którym coś więcej niż to minimum uznawane jest za samo sedno jego ustroju. Jakże jednocześnie trudno te najbardziej oczywiste żądania ucieleśnić na trwałe w praktyce.

Program sprawiedliwości zawarty w polskiej umowie społecznej zarysowany jest jasno. Polega on na dążeniu do poprawienia sytuacji rodzin o najniższych dochodach, utrzymaniu zasadnego zróżnicowania w przedziale dochodów średnich, splaszczeniu zróżnicowania dochodów powyżej średnich oraz radykalnym ograniczeniu wysokich dochodów uzyskiwanych na pograniczu legalności i nielegalności. Pierwszym krokiem na drodze realizacji tego programu miałyby być oczyszczenie społeczeństwa z osób, na których ciąży poważne nadużycia przywłaszczenia mienia społecznego, korupcja, niekompetencja, nieodpowiedzialność, nepotyzm i długi jeszcze katalog wypaczeń sprawiedliwości opisanych szczegółowo w naszych kodeksach prawnych i powinnościach moralności socjalistycznej. Trzeba mocno podkreślić, że zgodnie z duchem polskiej umowy społecznej, szanse i zakres jej praktycznej realizacji zależą przede wszystkim od konsekwencji w realizacji tego pierwszego zadania — oddzielenia sprawiedliwych od niesprawiedliwych, ludzi politycznie skompromitowanych od zyskujących aprobatę społeczną, moralnych od niemoralnych uczciwych od nieuczciwych.

Ocena kryminalnych wypaczeń prawa i przypadków karygodnego jego łamania powinna należeć do sądowego wymiaru sprawiedliwości. Praktyczna realizacja tej, wydawać by się mogło, najbardziej oczywistej powinności natrafia jednak w naszym kraju na niezrozumiałe dla uczciwego i prostołinijskiego myślącego obywatela trudności. Jest więc w tej sytuacji rzeczą zrozumiałą, że pracownicy wymiaru sprawiedliwości, mieniącemu się w formalnej literze prawa niezawisłym, tworzą nowe związki zawodowe zmierzające do faktycznej niezawisłości nie tylko w kwestiach kształtowania warunków bytowych swej grupy zawodowej. Oto, co wyznał sędzia Janusz Nowiński z Prezydium Komitetu Założycielskiego NSZZ Pracowników Wymiaru Sprawiedliwości: „[...] co sędziów boli najbardziej [...] jak dotąd — nie trafiły do sądu sprawy ludzi z ważnych stanowisk. Staliśmy się wy-

tymentów, niż zwiększając efektywność. Zjawisko to tłumaczone jest niewyżymaniem cen w Polsce, które, jeżeli sformułujemy, to jedynie w górę. Teoretycznie istnieje możliwość ustalania cen w oparciu o tzw. normatywne koszty wytworzenia, które określałby organa znajdujący się poza przedsiębiorstwem. Wymagaloby to jednak zatrudnienia całej armii rachmistrzów.

Przy braku obniżek cen dóbr standardowych nie ma możliwości powstrzymania nacisku na płace. Z kolei wzrost płac musi prowadzić do wzrostu popytu i rozszerzenia się luki inflacyjnej. Przy scentralizowanym systemie ustalania cen praktycznie niemożliwe są częste, drobne korekty. Zmiany większe dzieją się zaś pod stałą groźbą napięć społecznych. W efekcie następuje stałe rozregulowanie systemu cen.

Nawet gdyby udało się zobiektywizować koszty i sprawnie ze szczybla centralnego korygować ceny, pozostałoby dalsze problemy, które wiążą się z podziałem akumulacji między przedsiębiorstwo i budżet. Dokonuje się tego poprzez podatek obrotowy. Może być on ustalony procentowo lub różnicą między ceną dla producenta, tzw. ceną fabryczną. Równocześnie, uwzględniając popyt i podaż, określa się cenę detaliczną. Różnica między tymi cenami stanowi podatek obrotowy. Jeżeli cena towaru na rynku wzrosła, cały jej przyrost służy powiększeniu podatku obrotowego. W rezultacie przedsiębiorstwo było wszystkim jedno, za ile kupujemy na rynku jego wyroby. Tłumaczy to, dlaczego przedsiębiorstwa były długo obojętne na zmiany mody. Po prostu reagować na nie nie musiały. A jeżeli już się do niej dostosowywały, była to działalność charytatywna, wynikająca z dobrego serca, a nie przymusu ekonomicznego. Wprowadzony w połowie lat 70-tych procentowy sposób naliczania podatku obrotowego jest znacznie lepszy. Podatek stanowi pewien stały procent ceny detalicznej. Gdy cena ta rośnie, rośnie kwota podatku. Zwiększa się również zysk przedsiębiorstwa.

Wprowadzając procentowe stawki podatku obrotowego, praktycznie odchodzimy od kosztowej podstawy cen, zmieniając ją na rynkową. Problemem staje się teraz, kto ma reagować na zmiany rynkowe. Czy Państwowa Komisja Cen, jak to było w latach siedemdziesiątych, czy producent? Łatwo zauważyć, że jeżeli uprawnienia te otrzyma PKC, to cały dość prosty sposób powiązania producenta z rynkiem załamuje się. Każda zmiana cen urasta do rangi problemu politycznego. A ponieważ nieudana podwyżka cen oznacza — najczęściej — koniec danej ekipy rządzącej, lepiej pozostawić ceny w spokoju, patrząc jak urasta nawis inflacyjny. Nawis taki jednak wcześniej czy później musi uruchomić lawinę.

Czy jednak przekazanie producentowi uprawnień cenowych (z pewnymi wyjątkami, rzecz jasna) nie kryje w sobie jakichś niebezpieczeństw? Oczywiście, że tak. Mechanizm rynkowy prowadzi wprawdzie do cen równoważących popyt z podażą, ale nie są to ceny równowagi. Zabieg ten jest dosyć bolesny dla społeczeństwa. Ceny muszą wzrosnąć. Co gorsza, całą koryzę przejmują producenci. Konsumenty w rezultacie tego zabiegu nie będą mieli korzyści nawet w przyszłości, bowiem wzrost cen wcale nie musi oznaczać wzrostu produkcji.

Nie widać innego wyjścia z tej sytuacji, jak tylko znaczne zdecentralizowanie środków inwestycyjnych, czyli po prostu rozciągnięcie sfery działania prawa wartości do dział produkcyjnych środków produkcji. Ale nawet gdyby taki mechanizm został uruchomiony i sprawnie obsługiwał rynek krajowy, wcale nie oznaczałoby to, że byłby on efektywny. Powstała struktura cen znacznie mogłaby odbiegać od cen światowych. Istniejące ceny dawałyby fałszywy wynik rachunku ekonomicznego. Nie widzę innej możliwości wyjścia z tego impasu, jak tylko dalsze poszerzenie mechanizmu konkurencyjnego poprzez dopasowywanie cen wewnętrznych do światowych. Jest to możliwe jedynie poprzez zastosowanie jednolitego przelicznika dewizowego lub — mówiąc inaczej — wprowadze-

nie ograniczonej wymiennalności krajowej waluty (zabieg ten ma miejsce obecnie na Węgrzech). Dopiero wówczas powstałoby przesłanki dla realnego rachunku odpowiadającego na pytanie, czy dany wyrób lepiej produkować w kraju, czy importować.

Wprowadzenie istotnych elementów mechanizmu rynkowego znacznie nasiliłoby problem obrony interesów konsumentów. Nawet przy założeniu, że sprawnie działający ruch konsumenci broniłby ogółu kupujących przed machlojkami producentów, pozostaje niebagatelna kwestia szczególnej ochrony pewnych grup społecznych. Jest to ważne, gdyż dotychczasowa praktyka kreowania dochodów bazowała na najgorszej z możliwych zasadzie podziału, którą można nazwać zasadą podziału proporcjonalną do siły przebiecia. Prowadziło to do znacznego rozwarstwienia dochodów. Celem zabezpieczenia minimum dla grup najbardziej potrzebujących wykorzystywano niski poziom cen dóbr podstawowych. Nasilało się w ostatnich latach zjawisko nadawania cenom funkcji socjalnych. Ceny wprawdzie mogą być narzędziem polityki społecznej, ale zawsze będą narzędziem ułomnym. Istniejąca sytuacja przypomina wbijanie gwoździ obcęgami czy nawet mocowanie wkrętu za pomocą młotka. Pojawia się zatem pilna konieczność odciążenia cen z zadań, do których nie są powołane, i przejścia o tych zadań przez system podatków, zasiłków, zapomóg itd. W praktyce oznacza to usunięcie oczywiście absurdu, jakim jest utrzymywanie wielomiliardowych dopłat do cen detalicznych żywności. Dopłaty te nie są dotacją państwa do spożycia, bo państwo własnych środków nie ma. Jest to forma dotowania rolnictwa przez całe społeczeństwo. Dotowanie owo musi być utrzymane — chociaż zmiana polityki rolnej może je w krótkim czasie zmniejszyć — powinna być jednak zmieniona jego forma.

Naszkicowany system cen możliwy będzie do wprowadzenia w przyszłości. Jest on jednym z elementów reformy gospodarczej, a jak sądzę — również czynnikiem decydującym o jej powodzeniu. Jakie rozwiązania konie-

czne są na dziś? W tej materii powinniśmy sobie uświadomić, że jesteśmy skazani na prowadzenie gospodarki podobnej do występującej w okresie odbudowy powojennej. Podobieństwa wynikają m.in. z dużego stopnia związania nakładów inwestycyjnych z konkretnymi obiektami, znaczną nierównowagą rynkową i inflacją grozącą niebezpieczeństwem wymiany pieniądza. Ze względu na stałą nadwyżkę strumienia dochodów wpływających na rynek nad wartością podaży, luka inflacyjna będzie rostała. Na koniec 1980 r. wynosiła ona około 300 mld. zł, w roku bieżącym wzrosła o dalsze 250 mld. zł. Nawet przy założeniu zamrożenia płac, przy niezmienionym poziomie cen, wyniesie na koniec 1983 r. około bilion złotych. Ta sytuacja powoduje konieczność zahamowania wzrostu stopy życiowej lub nawet jej spadku. Musi prowadzić do drakonickiej surowości podziału, tępiącej wszelkie odchylenia dochodów od poziomu aprobowanego przez społeczeństwo. W praktyce połączenie surowości podziału z wprowadzeniem systemu cen stanowiących przez rynek wyrażać się może w następujących działaniach przygotowujących przedpole dla reformy gospodarczej:

— redukcji dochodów poprzez wprowadzenie ich opodatkowania o charakterze progresywnym (tj. im wyższe dochody, tym wyższa stopa podatkowa);

— odraczaniu popytu przez dalszy wzrost oprocentowania oszczędności, przedpłaty itd.;

— likwidacji dopłat do cen i przeniesienie ich w wynagrodzenia (przy progresywnym opodatkowaniu oznaczać to będzie spłaszczanie różnic dochodowych);

— stopniowym wprowadzaniu cen równoważących popyt z podażą na tzw. dobra wyższego rzędu, przy jednoczesnym uruchamianiu mechanizmów preferujących wzrost produkcji tych wyrobów (przekształcanie cen równoważących popyt z podażą w ceny równowagi).

Michał Zieliński

miarem sprawiedliwości tylko dla „maluczkich”, nie dla tych, którzy dopuszczali się wielkiej, karygodnej niegospodarności, korupcji i nadużyć, co było od lat publiczną tajemnicą” („Życie Literackie” 1980 nr 51/52).

Przypomnienie o konieczności równego traktowania przed obliczem wymiaru sprawiedliwości każdego obywatela brzmi szczególnie żenująco w państwie deklaruującym socjalistyczne zasady ustrojowe. Już bowiem dla Andrzeja Frycza Modrzewskiego, ponad czterysta lat temu (!), postulat takiej równości był czymś zupełnie oczywistym. Jeśli się miało ustanawiać w tym zakresie jakieś różnice — dowodził myśliciel — to należałoby ciężiej karać tych, co stoją na wyższym stopniu władzy, niż pozostających na niższych. Występki bowiem tych pierwszych prowadzą do nieporównywalnie bardziej dotkliwych następstw dla społeczeństwa, niż tych drugich. Wymiar sprawiedliwości nie stosujący zasady proporcjonalności kary do winy nie zasługuje w ogóle na swoje miano. Władza natomiast, konkludował Modrzewski, lekceważąca reguły sprawiedliwości traci legitymację władzy i staje się prostackim rozbojem.

Dla robotniczych sygnatariuszy polskiej umowy społecznej wezwanie „patrzeć władzy na ręce” to nie czesty slogan, lecz jeden z punktów programu socjalistycznej sprawiedliwości. Ideallizowany przez propagandę wizerunek władzy po jego obnażeniu musiał doznać poważnego uszczerbku. Obok przypadków wulgarnego korupcji niektórych dygnitarzy nastąpiło głębokie oburzenie wywołujące przywileje, jakimi cieszą się niektóre grupy społeczeństwa polskiego. Istota tych przywilejów polega na przyznawaniu szczególnych ulg, korzyści lub uprawnień tylko niektórym osobom i to bez dostatecznego chociażby uzasadnienia. Uprzywilejowani bezzasadnie przejmują na swój własny egoistyczny użytek dobra należne bardziej potrzebującym. Szczególne oburzenie budzą przypadki wykorzystywania przynależności partyjnej dla uzyskiwania przywilejów. Napiętnowano je co prawda w referacie Biura Politycznego przedstawionym na XIII Plenum jako stojące „w rażącej sprzeczności z normami statutu partii i ze społecznym poczuciem sprawiedliwości”. Fala wydarzeń przetaczająca się przez nasz kraj potwierdziła jednakże, jak obłudne to były słowa w ustach niektórych ich współautorów.

Zdrowy moralnie ruch robotniczego protestu obnażył liczne przejawy wypaczeń sprawiedliwości. Należy do nich uzyskiwanie nienależnych korzyści i nadużywanie zajmowanych stanowisk. Zaliczyć do nich należy wykorzystywanie socjalistycznego zakładu pracy i zatrudnionych w nim pracowników dla uzyskiwania prywatnych zysków. W patologicznych układach społecznych przedmiotem machinacji stają się — rzecz znana — nagrody, premie, atrakcyjne wczesy i pierwszeństwo w uzyskiwaniu atrakcyjnych w ubogim kraju towarów. Rodzą moralną odragę nie tylko powiązania klikowe

i kumoterskie, ale również nepotyzm — wysiłki zmierzające do przekazywania na zasadzie feudalnego dziedziczenia przywilejów, koneksji i stanowisk. Cięży na obliczu polskich mechanizmów politycznych przywilej nietykalności, zwany też plastycznie przywilejem „świętej krowy”. Oczekuje na wyjaśnienie hasło interesu ogólnospołecznego, jakże często niestety nadużywane jako parawan osłaniający interesy wąskich grup. Pozostaje jak dotychczas postulatem żądanie jawności dochodów i przywilejów.

Wypaczenia socjalistycznej sprawiedliwości w Polsce wyrastały nie tylko z powodów zasługujących na ocenę sądową. Wyrastały również ze szczególnego woluntaryzmu w polityce socjalnej władz. Polegał on przede wszystkim na ignorowaniu elementarnych potrzeb klasy robotniczej i większości ludzi pracy. Niedojrzała polityka inwestycyjna wprawdzie prowadziła do gwałtownego wzrostu płac wybranych grup społecznych, ale jednocześnie pogłębiła rozpiętość dochodów ludności, wywoływała zjawiska inflacji i naruszała równowagę rynkową. Dostrzegając te nieprawidłowości polityki ekonomicznej władz, robotniczy sygnatariusze polskiej umowy społecznej zabezpieczyli sobie prawo publicznego opiniowania decyzji w tym zakresie. Jednocześnie następujące po zawartych porozumieniach negocjacje w przedmiocie wysokości płac ukazały w pełnym świetle, jak trudno uczynić zadość wyobrażeniom sprawiedliwości, tak aby wszyscy byli zadowoleni. Nie pomógł tutaj nawet pośpiech ministrów przemierzających kraj z szybkością przypominającą akcje straży pożarnej.

Polska umowa społeczna wyrosła w sytuacji jaskrawego rozdziewięku między rządem w interesie klasy robotniczej, a rzeczywistymi interesami tej klasy. Jest to rozdziewięk między klasą robotniczą, a wyalienowanymi ze społeczeństwa ośrodkami władzy ekonomicznej i politycznej. Ośrodki te, samowolnie i wbrew zasadom ustrojowym socjalistycznego państwa, własne interesy wyniosły ponad interesy ludzi pracy. Musiało to doprowadzić do ostrego konfliktu społecznego, wszak troska o bieżące interesy ludzi pracy nie może być zastąpiona zwodniczymi hasłami budowy socjalizmu dla przyszłych pokoleń. Musiało też prowadzić do karygodnych wypaczeń zasad sprawiedliwości socjalistycznej, wszak w socjalistycznym państwie cele socjalne muszą zachowywać stały prymat nad innymi celami społecznymi. W ustroju socjalistycznym, którego zasady budowane są z myślą o zachowaniu, przede wszystkim sprawiedliwości, każde naruszenie sprawiedliwości godzi się musi w same podstawy tego ustroju. Z tych też względów problematyka najszerzej rozumianej sprawiedliwości zasługuje w socjalizmie na stałą i najwyższą uwagę. Jak to podkreślił Lenin, uważać sprawiedliwość za cześć słowo mogą jedynie „szubrawcy skłonni do ogłaszania się za marksistów”.

styczeń 1981

Roman Tokarczyk

Z PRZYCYN OBIEKTYWNYCH... CZYŻBY?



Fot. Z. Zugał

Sceną z komedii współczesnej Jacka Janczarskiego „Czyżby?” wystawionej przez Teatr im. J. Osterwy w reżyserii Józefa Stotwińskiego, ze scenografią Liliany Jankowskiej. Przypomina, że premiera odbyła się w październiku ubr. w Zamościu (p. „Kamena” nr 24 r. 1980 recenzja M. Bechcyc-Rudnickiej). Obecnie spektakle tej sztuki odbywają się w Lublinie, w siedzibie teatru. Wciąż jeszcze czekamy na otwarcie jego drugiej sceny. Przewlekłe tempo prac nad adaptacją przyrzeczonej sali w Miejskim Domu Kultury stało się m. in. przyczyną opóźnienia prezentacji „Czyżby?” w Lublinie.

Po przejściu Zbigniewa Szejmiana do Operetki Lubelskiej, postać dyrektora pępeuru Podlaskiego odtwarza również trafnie Roman Kruczkowski (na zdjęciu — z lewej strony). Poza tym grają: Grażyna Kłodnicka, Jolanta Kozak-Sutoń, Anna Skołuba, Anna Świelticka, Barbara Wronowska, Henryk Gońda, Kazimierz Górecki, Ryszard Kolaszyński, Stefan Lipiec, Jerzy Mędrkiewicz, Ludwik Paczyński, Jerzy Turowicz, Jan Uryga (księgowy Bartkowiak, na zdjęciu — po stronie prawej), Krystyn Wójcik i Włodzisław Wiszniewski.

M. B.-R.

Kamena str. 5

MIMO wszystko było nam wtedy z Marianem ponad wszelkie wyobrażenia dobre. Pocucie „wytrzymałej próby” po prostu uskrzydlało nam serca. Mieszkał przy ulicy Bykowskiej znowu w przydzielonym Marianowi mieszkaniu, opuszczonym przez rosyjskiego urzędnika. Robiliśmy sobie sami śniadania i kolacje, obiady jadalśmy w kuchni Departamentu, a parę razy chodziliśmy i do restauracji, bodaj że Szczerzyńskiego, gdzie prócz dobrego jedzenia można było znaleźć wszystkie znakomitości owocowe. Niedaleko naszej kwatery był dawny klasztor Dominikanek, a w nim austriackie więzienie. Przed starym nadkruszonym portalem stała straż, a ja przypominałam sobie z czułością opowiadania mojej matki, która chodziła do tych Dominikanek do szkoły w czasie powstania 63 roku. Miała osiem czy dziewięć lat i zawsze ktoś ją odprowadzał, bo się bała kozaków. Przypominało mi się zarazem, że z tego samego Piotrkowa najstarszy brat matki, wuj Bronisław Galczyński, wyruszył do powstania „z całą stacją” kolegów którą moja babka trzymała po wybyciu ze wsi i osiedleniu się w Piotrkowie. O tej stacji, to kiedy byłam bardzo mała, pamiętam, że chyba jeszcze sama babcia opowiadała mi zabawną historyjkę. Uczniacy byli już dryblasami blisko pod waseł i wieczorami namiętne grywali w karty. Otóż pewnego wieczora nauczyciel, którego, nie wiem już czemu, przezywano Cwikiem, wybrał się z kontrolą na stację babki. Musiał stać chwilę pod drzwiami, nasłuchując, co chłopcy robią, bo gdy jeden z nich zawołał: — „Ja — pik” — drzwi się nagle otwały i rozległo się groźne: — „A ja — Cwik”. Końca tej anegdotki nie pamiętam, ale jako dziecko uległam natręctwu tego opowiadania i często jak idiotka powtarzałam: — „Ja pik, a ja ewik”

Kiedy już wróciłam do Lublina, niedługo potem i Marian przyjechał do mnie na parę dni. Było to akurat w czasie, kiedy zaczęłam się starać o przepustkę na wyjazd koleją do Warszawy. Nie można było jej dostać bez świadectwa szczepienia ospy. Zaszczepił mi ją dr Stanisławski. Mimo że to było już trzecie w moim życiu szczepienie, reakcja była tak silna, że dostałam wyspki, gorączki, a ręka tak spuchła i bolała, że nie mogłam nią ruszać. Marian zastał mnie w łóżku i bardzo się przestraszył, ale na jutro wstałam i było już po kryzysie. Marian mieszkał z matką, ogromnie się podobał pp. Stanisławskim, tak że zapraszali nas do siebie na obiady i podwieczorki, co u nich, bardzo oszczędnych ludzi, było niemalym dowodem życzliwości.

Po wyjeździe Mariana odwiedziła mnie całkiem niespodziewanie p. Stefania Sempolowska. Znakomita i malownicza ta postać nieraz jeszcze nawinie mi się na nitkę wspomnień. Nadmienię więc tu tylko, że poza wszystkim innym, znacznie ważniejszym, wyróżniałam ją pomiędzy wszystkich moich znajomych także z tego powodu, że ona jedna jedyna, na podstawie przeczytanego w r. 1913 opowiadania mego pt. „Janek”¹⁾ przepowiedziała mi już wówczas przyszłość powieściopisarską i zachęcała mnie do pracy tylko artystycznej. P. Stefania miała w Motywie pod Lublinem siostrę za Zielińskim, inżynierem czy dyrektorem tamtejszej cukrowni. Znalam trochę panią Zielińską i jej dwie dorastające córki, gdyż bywały czasem u pani Stanisławskiej. Teraz jednak panna Stefania wracała z dalszych stron, znad Buga, z potrzeby czy z mogiły swej drugiej siostry, Stanisławowej Karpińskiej, która padła ofiarą epidemii tyfusu, lecząc chłopów w swoim majątku i w przyłej do niego wsi. Ucieszyłam się z tej wizyty, gdyż chwila spędzona z p. Stefanią była istną rozkoszą towarzyską. Z ówczesnej mojej z nią rozmowy pamiętam, jak zadziwiła mnie twierdzeniem, że Mickiewicz był przeciwnikiem Konstytucji 3 Maja. Myślałam, że to jest jeden z tych paradoksów, które lubiła wygłaszać, zaskakując nimi słuchacza. Dopiero

kiedyś potem, przeczytawszy w całości „Wykłady o literaturach słowiańskich”, przekonałam się, że twierdzenie p. Stefani nie było bezpodstawne.

W okresie kwitnienia bzów spędziłam tydzień z Zońką Poniatowską w Jaszczowie, majątku ojca p. Juliusza, położonym blisko Lublina około stacji kolejowej Milejów. Ojca tego, wspaniałej urody starszego pana z obrzymimi, spadającymi aż na piersi włosami, o ile pamiętam, nie było wtedy w Jaszczowie. Według powieдения Zońki, stary pan Poniatowski „żył epoką” i w związku z tym często wyjeżdżał dla narad z ziemiaństwem i zasięgania tu lub ówdzie wieści o pasjonującym go biegu historycznych wypadków. Nie był zwoleńnikiem Pilsudskiego, a i nad poglądami społecznymi swego syna Juliusza bolał srodze. W Jaszczowie przebywała druga jego żona, osoba dosyć egzaltowana, lecz nie pozbawiona inteligencji, kłoniącej się ku rozmyślanemu teozoficznemu. Zońka nie bardzo ją lubiła, a ona znów, nie wiem dlaczego, kosa patrzyła na

winną się wychowywać do twardego życia, aby umiały cenić miękkość i odpowiednio się wobec pomysłowości zachowywać. Jeśli Basia rywała w niebogłosy wyprawdzając np. za jakąś karę do pustego pokoju, biedna Zońka rywała także, ale kary nie zlagodziła. Z tych zabiegów około wychowania Basi zapamiętałam jeden pocieszny epizod. Małą nauczono już od dawna, że przy jedzeniu należy się posługiwać kawałkiem chleba, jeśli coś nie da się nabrać na łyżkę czy widlec. Otóż raz przy obiedzie Zońka zauważyła, że Basia popycha sobie paluszkami resztki jakiejś potrawy na łyżeczkę. — „Basiu, co ty robisz. Masz od tego skóreczkę chleba” — mówi Zońka. — „Ale matko — odpowiada małeństwo rezolutnie i z nieklamną radością — ja się już nauczyłam palcem”. Biedaczka była przekonana, że zrobiła ogromny postęp. Zońka naturalnie w śmiech, gdyż pocucie humoru było w niej równie silne jak macierzyńska powaga.

Zońka Poniatowska] była dziw-

Zońka była z nich najdrobniejszą, a jak mi sama opowiadała, matka w dzieciństwie uważała ją za nieładną i martwiła się, że z powodu braku urody nie wyjdzie za mąż. Tymczasem dorosła okazała się nie tylko z całego swojego rodzeństwa najwybitniejszą duchem, ale i w swoim rodzaju uroczą. Ciągłe choroby, atakujące kolejno wszystkie jej wewnętrzne organy, przedwcześnie ją zniszczyły, ale w moich oczach była do końca (umarła na dalekiej obczyźnie w sierpniu 1942 r.) bardzo ładną. A choć nie wszyscy uznawali ją za piękną, każdy musiał się zachwycić jej prześlicznymi niebieskimi oczyma, jej promiennym uśmiechem, nie mówiąc już o szlachetności i rysach, i wyrazu twarzy. Zońka sama namiętnie mówiła o sobie z tego powodu, w czym bardzo przesadzała, bo Daniłowski miał rzeczywiście usta jak wielkie miękkie łuchwy wielbłąda i w dodatku zawsze otwarte, a i to — dziwna rzecz —

LUBLIN 1916 (IV)

Stare Miasto i okolice

Maria Dąbrowska

małą Basie, krytykując ciągle i jej zachowanie się, i charakter. Trzyletnia Basia, ubrana w fałdziastą spódniczkę, zażywna kobietka, była energiczna, rozsądna i bardzo zdecydowana w swoich upodobaniach i wstrętach. Była tak sympatycznie wiejska, polska i zaradna, że nazwałam ją wtedy Rzepichą. Nikogo więcej w tym Jaszczowie nie pamiętam, choć stary p. Poniatowski miał sześcioro dzieci: Juliusza, Adama i Jadwigę, już całkiem dojrziałych — z pierwszego małżeństwa, oraz niedorosłych jeszcze: Janusza, Zygmunta i Halinę — z drugiego. O tych trojgu młodszych to pamiętam, że wojna zaskoczyła ich gdzieś na kresach u rodziny i znajdowali się bodaj czy nie po drugiej stronie frontu, a w każdym razie gdzieś daleko.

Jaszczów był ślicznie położony na wysokim brzegu Wieprza. Dwór mieszkalny drewniany i nieosobliwy, tyle tylko że obszerny i wygodny. Ale na trawniku przed nim aż w oczach emilo się od istnych obłoków rumiano-fioletowych kwitnącego bzu tureckiego. Zaś tuż obok dworu pod kątem do niego prostym stała piękna starożytna budowla murowana, którą nazywano zborom arjańskim. Mieszcili się tam różne urządzenia gospodarskie i nawet mówiło się potocznie: „we zborze”, „do zboru” itp. Coś w tym więc musiało być, choć dr. Kot, specjalista od arjan, twierdził, że nie wie o zborze arjańskim w Jaszczowie — a zapł je wszystkie na pamięć — i że to musiał być stary lamus lub coś w takim rodzaju.

Pogoda była wtedy śliczna i chodziliśmy z Zońką na dalekie spacery nad rzeką, której wysoki brzeg był cały podziurawiony gniazdomi jaskółek-oknówek. Gadano się o wszystkim i o niczym, jak to bywa w przyjaźni i w miłości, że wszystko jest interesujące, a samo już przebywanie razem sprawia przyjemność. Rzeńska Basia towarzyszyła nam zwykle i były to może jedyne chwile, w których Zońka dawała swobodne ujście przejawom swej miłości dla jedynaczki. Bo poza tym wychowywała Basie raczej surowo. Nie ustępowała nigdy jej kaprysom, wymagała samodzielności i obywatnia się bez pomocy przy ubieraniu się, myciu itp., mało też dziecku dogadzała, twierdząc, że dzieci po-

nie zajmującym pomieszczeniem sprzecznych cech. Była pełna dobroci i słodyczy, miała ogromne poczucie artystyczne nie tylko w doboraniu sobie stroju czy otoczenia domowego (m. in. sama ślicznie rysowała projekty mebli), ale i w ogólnej postawie wobec życia. Jej wyrozumiałość dla ludzi i nawet ciekawość dla powikłań życia bliźnich były duże, ale jednocześnie miała w sobie coś z prostolinijnych cnót starożytnej matrony, jej nastawienie życiowe było heroiczno-tragiczne, a jej pojęcia o powinnościach i obowiązkach człowieka surowe, niemal zakonne. Zdradzała sporo skłonności do kształtowania otaczającego ją świata po swojemu, w czym przejawiała wzniosłą naiwność pomysłów i stanowczą, nawet upartą wolę ich przeprowadzania. Gdyby nie brak zdrowia, który ją nękał ciągłym poczuciem niedołęstwa, byłaby zapewne w wielu swoich poczynaniach, tą silną niewiastą, o których się dawnymi czasami mówiło: hie mulier.

Poniatowscy pochodzili z tego samego rodu, co król Stanisław August i pieczętowali się tym samym herbem Ciołek. Zofia była z domu Pohońska, rodziła się z Wydzianki i była ciętoczno-ciętoczną siostrą swego męża. A pomimo że obie te rodziny dawno zbiegły, pomimo że i Juliusz i Zofia holdowali poglądom nie wspólnego z duchem szlachetczyzny w ujętym znaczeniu tego słowa nie mającym, pomimo że nie dbali o dobra doczesne i mieli bardzo skromne potrzeby osobiste, coś ze stylu dawnego ducha ziemiańsko szlacheckiego nie tylko w nich pozostało, ale nawet z nich mocno promieniowało. Nie mieli oni nigdy domu w zwykłym sensie tego pojęcia, lecz gdziekolwiek przysiedli, natychmiast stawali się patryarchalnym ośrodkiem, skupiającym życie duchowe i uczuciowe całej swojej rodziny, a rodzina była pokaźna. Sina Zońka miała oprócz już wtedy nieżyjącej Emilii [Zielińskiej] ośmiorgo rodzeństwa: Ewę za dr. Grzegorzewiczem, Marylę za Bujalskim, Annę, czyli Ulę, później za Gawędzkiem, i braci: Karola, Stanisława, Michała, Jana i Wojciecha. Wszyscy byli piękni i rośli, a najmłodszy Wojciech był nawet prawie dwumetrowym olbrzymem.

nie pozbawiało go pewnego udzielającego się wdzięku.

W Lublinie Zońka mieszkała w starej części miasta, bodaj że przy ulicy Jezuckiej u niejakiej pani Chądzyńskiej, staruszki, żyjącej wspomnieniami dawnej rodowej świetności. Mieszkanie było od ulicy parterowe, a z drugiej strony okna wychodziły na strome zbocze wzgórza, na którym nieopodal miał się odbywać słynny sejm unii z Litwą, a teraz mieściła się Biblioteka Publiczna im. Łopacińskiego. Już sama droga do Zońki była przyjemna, choć przed wejściem w bramę Krakowska stała tablica z trupią główką i napisem: — Tyfus. — Kto by tam jednak w moich ówczesnych latach bał się tyfusu, ani człowiek, popatrzył na złowrogą przestrożę. Wechodziło się między stare, waskie i malownicze uliczki, łak wymowne, że nawet odór żydowskich brudów i cebuli nie tamował przystępu romantycznym uczuciom i wyobrażeniom o dawnym życiu, które tutaj niedłży szumiało. Z Zońką często błądziłyśmy po starych zaułkach Lublina, gapiąc się na potwornie zamiebanne cuda ulicy Grodzkiej, na nieco lepiej utrzymane monumentalne okolice katedry i samą katedrę, na potężne mury zamku z kaplicą o bizantyjskich freskach z czasów Jagiellów, na żalozne ruiny kościoła zdaje się pofrancuskańskiego, w którego nawach pod prowizorycznym dachem gnieździła się żydowska biedota.

c.d.n.

1) Stefania Sempolowska (1816-1811) — wybitna działaczka społeczna i oświatowa, publicystka. Przed I wojną w Polsce, międzywojenie organizowała ruch oświatowy i działała na rzecz demokracji i szkolnictwa m.in. w Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na różnych polach realizowała idee humanitarne m.in. Czerwony Krzyż, skłaniała opiekę nad jeńcami, wziętymi politycznymi Komitetem Intelektualistów do Walki z Terrorem). Uprawiała publicystykę.

2) opowiadanie „Janek” opublikowała Dąbrowska w „Prawdzie”; było to pierwsze z młodzieńczej twórczości opowiadanie, do którego się przyznawała i które przedrukowała w swym debiucie literackim „Uśmiech dzieciństwa” 1937.

Piękno na śmieciach

W numerze 10 (704) „Kamery” z 1980 r. zamieszczałem smutny w wymowie fotoreportaż z lubelskiej Starówki, tak obecnie zaniedbanej jak chyba nigdy w swojej nie-lubelskiej historii, nawet XVIII-wiecznej, kiedy to królewska karetą trzeba było wyciągać z błota lubelskiego. W trudnym położeniu są lubelscy przewodnicy oprowadzający wycieczki po tej „perle architektury” tak niedostępnej od siedziby ojców miasta. Widok brudnej lizajawatej architektury, mdłacy fetor rozkładających się od wielu miesięcy nie sprzątanym śmieci stanowią wyjątkowy dysonans ze słowami przewodników o świętych, bogatych czasach, pięknych i bohaterkich kartach historii Lublina. Ze szczególnym sentymentem wspominają przewodnicy, i chyba nie tylko oni, działająca w Lublinie w XVIII wieku Komisję Dobrego Porządku.

Przykro też znaleźć się na Starówce lubelskiej fotoreporterowi. Ma on bowiem alternatywę fotografować gołębie Starówki lub jej szczury. Ptaki na ile wieże i grzyby w śmieciach. Każdy obiekt lubelskiego Starożytności ma swoje indywidualne piękno, te widać nawet w stanie obecnej przedrewaloryzacyjnej marności. Ulica Szambelańska biegnąca wzdłuż dawnych murów obronnych od strony obecnej ulicy Rady Delegatów, malowana i fotografowana przez całe pokolenia artystów, m.in. Jana Bulhaka i Edwarda Hartwiga jest obecnie wysypiskiem śmieci i promenadą szczurów. Ulica Żłta natchnienie malarzy i ulubione miejsce turystów jest bezładnym, skupiskiem materiałów budowlanych.

Sprawa zaśmiecania Lublina i indolencji MPO była wielokrotnie podnoszona przez lubelską prasę. W tym przypadku chodzi jednak o wizytówkę mia-

sta oglądana oczyma nie tylko krajowych turystów. Na postawie zdjęć fotograficznych często przekonano się, że przy robieniu następnych ze śmieci to są jeszcze z poprzednich fotoreportażów wzbudzone o kolejne, nie usunięte warstwy.

W legendzie i operze znany jest przypadek wyprowadzenia szczurów z miasta za pomocą czarodziejskiego fletu. Wiek może być tak zorganizować na lubelskim Starym Mieście widowisko typu „światło i dźwięk” jako efekt współpracy miejskich służb porządkowych i deratyzacyjnych z jednej strony a np. Państwowej Filharmonii Lubelskiej odwarzającej fragmenty opery „Czarodziejski flet” W. A. Mozarta — z drugiej?

Aczkolwiek śmiecie nie są wrażliwe na piękno muzyki i trzeba je po prostu wywieźć a szczury wytruć. Dzisiaj pokazujemy lubelską wieżę i gołębie, mając nadzieję (nawna?) że jako dwutygodnik nie zdążymy już opublikować fotoreportażu „Śmiecie i szczury Starówki”.

Fotografował i narzekał Waldemar Stępień



▲ A to jest staromiejski szczur, panie prezydencie Lublina!

PAMIĘTNIKI i wspomnienia cieszą się dużą popularnością, niewątpliwie większą, niż współczesna beletrystyka. Stąd i szeregi niestrudzonych pamiętnikarzy rozmnażają się u nas jak grzyby po deszczu, sięgając po chwale i sławę. Bo wystarczy przecież opisać swoje rozmowy z dziadkiem i natchniami zostaje się członkiem Związku Literatów Polskich. W rezultacie w organizacji tej więcej chyba obecnie przemilczanych gawędziarzy niż pisarzy, a elegancką prozę wypierają z łamów wielu czasopism teoretyczne referaty i przemówienia o latach, które na szczęście minęły i daj Boże oby nie wróciły już nigdy.

Słusznie się jednak poniekąd obawiają, że jeżeli w przyszłości jakiś historyk będzie chciał na podstawie tak często wydawanych dziś wspomnień przedstawić obiektywnie wydarzenia i fakty, jakich samymi byliśmy świadkami, znajdzie się w niemałym kłopotcie. Niczym w tyglu przyprawia się w nich bowiem prawdy i półprawdy oraz zasłyszane gdzieś opowieści. Przykłady? Proszę bardzo! Dwa zupełnie przypadkowo wybrane.

Niestrudzony pamiętnikarz naszych czasów, autor krzyżówek zatytułowanych „Pół wieku”, Jerzy Putrament, w swym niedawno wydanym „Poślizgu” przypomina odejście w 1956 roku ze stanowiska ministra Kultury i Sztuki Włodzimierza Sokorskiego, którego ówczesna, aktywna działalność jeszcze dziś, po 25 latach, złośliwie daje owoce:

„Wobec tego, że Ochab (też w fazie bojowej) na aktywie zahaczył ostatnią Radę Kultury, Trzygława odkłada nasze zebranie do dwudziestego. To nie koniec jego męskiej decyzji. Postanowił zdjąć... Sokorskiego. Ba, rzecz już zatwierdzona...”

Tyle lat użerałem się z Sokorskim za jego pomysły „sterowania” literaturą. Ale ta wiadomość wcale mnie nie uskrzydliła. Wyszedłem od Trzygława w nastroju metafizycznym. Otóż i po Włodziu, pomyślałem smętnie, mimo że było słońce i ciepło. Szedłem sobie Nowym Światem...

I oto doszedłem do ministerstwa... Za ogromnym biurkiem siedzi tym mniejszy Sokorski. Ze zdziwieniem spojrzął na mnie i wyszedł mi na spotkanie.

— Wiesz już? — spytałem.

Nie wiedział. Ale zaintrygowany był raczej pozytywnie, każdy z nas miał w tym czasie swoich ulubieńców, których odejścia podświadomie się spodziwał.

— Nie wiesz? Doprawdy?

Sokorski potwierdził. Już był trochę niespokojny.

— Zdjęto cię. Nie wiesz?

— Nie.

Głos mu nie drgnął, ale rama była jakaś bezbronna. To jednak granda, nawet nie zawiadomił przed decyzją. Przyznajemy, że bywały gorsze. Pewien minister opowiadał, że o swoim odejściu dowiedział się z dziennika radiowego. Tak mi się zrobiło żal Włodki, że go nagle pocałowałem w policzek. Zgarbiony i bezbronny został wśród rozmazanych pejszów przemysłowych”.

Włodzimierz Sokorski również należy do naszych czołowych pamiętnikarzy. Trzeci wybitny pamiętnikarz, Roman Bratny, napisał o nim z sympatią: „Nie ma w Polsce człowieka, który by błagował więcej, lepiej, szybciej”.

Wydarzenie przez Jerzego Putramenta tak żywo i barwnie przedstawione Sokorski relacjonuje inaczej. W wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi Kulturalnemu” z 1 czerwca 1980 roku stwierdza mianowicie:

„Z resortu kultury odszedłem na własną prośbę [podkr. Z. W.], było to w okresie tzw. odwilży, kiedy to wiele generalnych założeń kulturalnych uległo przekształceniom, zmianom w kierunkach, których nie mogłem lub nie chciałem aprobować. Wolalem więc działać w innym środowisku, w innej instytucji, gdzie pryncypialne założenia były bardziej potrzebne. I to się wkrótce sprawdziło. Wypadki poznańskie, a później wydarzenia październikowe dokonały zamętu w wielu głowach. Dla radia głównie (bo stały program telewizyjny zaczęliśmy nadawać dopiero od połowy maja) był to trudny okres, wielu ludzi przeżywało głęboki kryzys, odbijało się to na ich pracy i sposobie myślenia... trzeba więc było dokonać poważnych przesunięć kadrowych; jesienią 1956 i zimą 1957

roku zmieniło się 27 redaktorów naczelnych radia i 2 telewizji, którzy nie zrozumieli (czy nie chcieli zrozumieć) strategii i taktyki władz partyjnych. Coż, taka była konieczność, takie są prawa historii”.

Rzeczywiście prawa historii są bezwzględne. Co kilka lat powodują — podyktowane pryncypialnymi założeniami — bezlitosne zmiany personalne w redakcjach, zgodnie zresztą ze strategią i taktyką partii. Włodzimierz Sokorski również im podlegał. Nigdzie jednak jeszcze nie napisał, jak po przeprowadzeniu niezbędnych przesunięć kadrowych — sam został przesunięty ze swego kolejnego stanowiska w Komitecie d/s Radia i Telewizji. Trochę to wyglądało inaczej niż w resorcie kultury, ale też śmiesznie.

W ubiegłym roku ukazały się nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej bardzo ciekawe „Szkice z przeszłości” Eugeniusza Bielenina, redaktora przedwojennego „Piasta”, działacza Polskiego Stronnictwa Ludowego. Autor wiele miejsca poświęca w tych wspomnieniach osobie Wincentego

znawczy Bielenina ruszył tylko przyjaźnie głową. Siedział, a właściwie na wół leżał w wygodnym fotelu z rękoma ułożonymi na poręczach.

— Panie prezesie — zacząłem nieśmiało — bardzo mi przykro, że nachodzę pana w czasie choroby, ale na głos pana oczekuje duża część społeczeństwa. Pańska ocena obecnej sytuacji Polski jako doświadczonego polityka nie jest też obojętna dla czynników rządowych. Zwracam się do pana z prośbą o taką ocenę w imieniu dziennika „Rzeczpospolita”, który jest oficjalnym organem rządu.

Witos wysłuchał z uwagą i po chwili zastanowienia się półgłosem odrzekł:

— Kiedy nie mogę mówić...

Sądziłem, że nie może mówić z powodów politycznych w obawie przed jakimiś konsekwencjami. Błyskawicznie uświadomiłem sobie jednak, że to oczywisty absurd, że tego rodzaju powód nie może mieć wpływu na człowieka formatu Witos’a”.

Eugeniusz Bielenin: — Redaktorze, zróbmy tak: proszę podziękować w moim imieniu tym panom za ich dobre chęci. Proszę im powiedzieć, że mam

No i jak tu wierzyć!

Zenon Wilczewski

Witos’a, a zwłaszcza wizycie, jaką mu złożył w 1945 roku, po wyzwoleniu kraju, na prośbę Jerzego Borejszy. To samo wydarzenie opisał i inny dziennikarz, Stanisław Ziemia, w pamiętnikach „Czasy przelomu”, wydanych w 1975 roku w Krakowie. Jemu także powierzona została identyczna misja. Porównajmy przeto ich relacje.

Eugeniusz Bielenin: „Borejsza nie miał przeciwko temu, by ktoś z moich znajomych jechał również, zabrałem więc ze sobą Stanisława Marcinkowskiego, b. administratora „Piasta”. Po przyjeździe do Tarnowa wstąpił do restauracji, by coś przegryźć; przy okazji wypiliśmy tyle, żeby trochę ducha pokrzepić. Po posiłku zaproponowałem, że ja pójdę do pani Masłowej (córka Witos’a mieszkała wówczas w Tarnowie, a Witos przebywał u niej), a reszta towarzysztwa poczeka na mnie w restauracji. Borejsza miał wielką chęć iść razem ze mną, ale go przekonałem, że tak będzie lepiej.

Zastaliśmy Witos’a w łóżku. Leżał jak Łazarz, przykryty prześcieradłem. Był co dopiero po masażu, który mu zaordynował dr Chłopiński. Ucieszył się moim przyjazdem, jako że zawsze przywoziłem mu garść nowin z Krakowa. Gdy mu powiedziałem, z czym przybywam, spochmurniał. Po pewnej chwili powiedział z wyrzutem:

— Panie redaktorze, po co się pan do tego mieszczą?

— Panie prezesie! To nie jest taka prosta sprawa! Wolalby pan, by ci panowie sami tu przybyli bez mojej uprzedniej wizyty? Przecież to jasne, że gdyby do pana przyjechali, nie mógłby pan ich nie przyjąć...

— Ma pan słusznosc! — zgodził się. — Więc co tu robić? Kto to jest ten pan Borejsza?”

Stanisław Ziemia: „Uparłem się jednak, że do Wierchosławic pojedę tylko, jeżeli zgodzi się wraz ze mną jechać Bielenin. Bez niego wyprawa była skazana na niepowodzenie... Bielenin nie zgłosił sprzeciwu, a nawet wyraził zgodę, by wraz ze mną złożyć wizytę Witosowi...”

Zostaliśmy zaraz przez pana Masia wprowadzeni do pokoju, w którym był Wincenty Witos. Nie był w stanie podnieść się na nasze powitanie. Po-

do dra Chłopińskiego pełne zaufanie i że pozostaną w jego leczeniu. Panu Borejszy prosiłem powiedzieć, że lekarz zabronił mi przyjmowania kogokolwiek, że nakazał mi zupełny spokój, że stan mego zdrowia jest tego rodzaju, że nikogo przyjąć nie mogę, że nie mogę udzielać żadnych wywiadów. Zresztą będzie pan wiedział co pan-ma wiecie!

Odmowa zrobiła na Borejszy piorunujące wrażenie. Po drodze dał upust swojej wściekłości.

— Niech Witos uważa, by nie przeciągnął struny, by się mu to nie przydarzyło, co temu pastarzowi, któremu wilki owce porwały. Może się doczekać, że nikt mu z pomocą nie przyjdzie”.

Stanisław Ziemia: „Nastąpiła dłuższa chwila milczenia, w której Witos jakby nabierał jeszcze sił, aby jednak coś powiedzieć. Nie myliłem się.

— Dawno mówiłem, o czym wie Bielenin — rozpoczął półgłosem w trakcie naszego oczekiwania — że Polska po tej wojnie będzie taką, jaką ją będą chcieli mieć ci, co wojnę wygrali: Rosja, Anglia, Ameryka. Nic tu nie poradzimy. I takie będą granice, jakie oni wyznaczą. Myśmy wojnę przegrali i takie czy inne naciąganie, że jest odwrotnie, to tylko ludzenie się... Wspomniał pan o rządzie. Rząd nie zawsze może robić to, co by robić pragnął. Byłem trzy razy premierem i wiem coś o tym. Trzeba ulegać czynnikom wewnętrznym i zewnętrznym, liczyć się z nimi. Nieraz zdarzyło mi się robić w imieniu rządu rzeczy, które nie leżały w moich przekonaniach, ale taki był wymóg sytuacji, konieczności...”

W tym miejscu przerwał. Twarz miał skupioną. Myślał. Był już jednak wyraźnie wyczerpany”.

No i jak tu wierzyć naszym pamiętnikarzom! Bielenin twierdzi, iż sam wykonał tę misję specjalną, a Ziemia, że byli tam we dwojkę. Swego długoletniego współpracownika Witos w zasadzie odparzył z niczym, nie chciał składać żadnych deklaracji politycznych, a Ziemia udzielił wywiadu, oświadczając, iż Polska wojnę przegrała. Jak było naprawdę i co rzeczywiście wtedy powiedział? Oto podstawowe pytanie.

Pamiętniki nie są więc najlepszym źródłem dla historyków najnowszych dziejów Polski.

W związku z „Oświadczeniem Bolesława Cwikły”, opublikowanym w „Kamieniu” nr 6, przyszły na ręce p. Cwikły dwa listy, które nam udostępnił. Ponieważ ich nadawcy nie podali swoich dokładnych adresów, więc nie mogliśmy z nimi uzgodnić, czy zezwalają na publikację listów. Ze względu jednak na doniosłość poruszanych spraw zdecydowaliśmy się na druk, pozostawiając do wiadomości redakcji nazwiska nadawców.

Panie B. Cwikła!

Z zainteresowaniem przeczytałem Pańskie „Oświadczenie” zamieszczone w „Kamieniu”. Szczerze się przyznam, że choć osobiście nie znam Pana, to uważam, że jest Pan człowiekiem szlachetnym, mądrym, i co tu dużo mówić — odważnym. Choć porównując siebie do Pana, to jestem „kopciuszkiem”, niemniej jednak i ja przeżyłem „mały” wstrząs na niwie swojej działalności w „Solidarności”. Podejmując działalność, również liczyłem, że nasz związek będzie rzeczywistie związkiem ludzi pracy i dla ludzi pracy. Moje pierwsze rozczarowanie wystąpiło w chwili, kiedy do władzy związkowej w moim zakładzie przenik-

nęły osoby, co do których nie można mieć zaufania. Ludzie ci drogą różnego szantażu zastraszali pracowników spokojnych i uczciwych na uskróś. I „wybory” się odbyły. Zorientowałem się następnie, że nieroby nasze tylko interesują się i czekają na różnego rodzaju „gotowość” strajkową, strajki ostrzegawcze i strajki właściwe. Wszystko w imię swoich popędów „wyżycia” się. Doszło do tego, że zaczęto „rozmyślać” o organizmach w rodzaju tzw. bojówek szturmowych. Zapewne domyśla się Pan, z czym ja to sobie skojarzyłem? Obecnie ludzie w moim zakładzie pracy zaczynają bardziej trzeźwo patrzeć na całą sprawę i uważam, że wspólnie poradziemy sobie z tym plugastwem i oczyszcimy organizację z lajdusów. Pocięszam się, że takich ludzi jak Pan jest dużo. To mnie podtrzymuje na duchu i każe wierzyć, że zwycięży szlachetność, a my, prawdziwi związkowcy, będziemy mieli czyste sumienie w stosunku do ludzi, którzy nam zawierzyli. Proszę mi wierzyć, że ma Pan już dużo swoich zwolenników i sympatyków, widzę to po ożywionej dyskusji w moim zakładzie pracy. Swidnik 15.03.81 r.

Szanowny Panie Cwikła!

Przeczytałem Pana oświadczenie w szóstym numerze „Kamienia”. Należą się Panu wyrazy

uznania i szacunku za odpowiedzialność, rozsądek i odwagę. Nie będę pisał dużo, chęć tylko powiedzieć, że myślę podobnie, dlatego to, co Pan wyraził, jest mi bardzo bliskie. Jestem członkiem „Solidarności”. Powstanie związku wyzwoiliło we mnie entuzjazm i potrzebę działania. Wierzyłam mocno, że nasz ruch dokona rzeczy wzniosłych i wspaniałych. Uczciwość, rzetelność, obiektywizm, szacunek, kultura słowa, odpowiedzialność za ludzi — zakład, miasto, kraj — to wszystko łączyłam z „Solidarnością”.

Takie motywacje i oczekiwania kierowały mną w chwili zapisania się do „Solidarności” i podjęcia społecznej pracy w związku. W tej chwili jestem kompletnie rozczarowana i noszę się z zamiarem rezygnacji z członkostwa. Nie mogę patrzeć na agresywność, nastęliwość, pomówienia i dyskryminację uczciwych ludzi, wyżywanie się gotowością strajkową, szukanie pretekstów do awanturnictwa i strajków.

Cieszę się, że w odczuciach i ocenach nie jestem osamotniona. Rozmyślam nad losami „Solidarności” i nie mogę się pogodzić z tym, że może ona być pogrzebana przez ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z robotnikami i ludźmi pracy. Może warto, by Pan i nam podobni podjęli walkę o właściwe oblicze związku. Lublin 16.03.81 r.

Co nam czas przyniesie ?

Piotr Kuncewicz

Z PEWNYM smutkiem muszę stwierdzić, że lata siedemdziesiąte nie były dla poezji najlaskawsze i że z tego, co się pojawiło, żadnej dorzeczonej prognozy zrobić nie sposób. Jest to o tyle bardziej paradoksalne, że przecież zrobiono dla młodych naprawdę bardzo wiele. Przede wszystkim znacznie ułatwiono debiut, po prostu przyznając na ten cel preferencje papierowe i w ogóle wydawnicze. Ukazało się w związku z tym bodaj trzy razy więcej debiutów niż w latach sześćdziesiątych. Było to zresztą krytykowane jako zbędne ułatwianie życia i marnowanie papieru, bowiem wyniki, jako się rzekło, ośniewające nie były. Nie zgadzam się jednak z takim punktem widzenia. Młody autor nie ma praktycznie żadnych możliwości wydania książki własnym kosztem (choć udało się to Andrzejowi Partumowi), i nikt także przewidzieć nie może, czy z tego źródłowania nie wytryśnie cała rzeka. Koszty są w sumie niezbyt gigantyczne, a możliwy zysk społeczny niebagatelny.

Skąd się wziął impas? Ponieważ jesteśmy w momencie społecznie zwrotnym, łatwo byłoby doszukiwać się przyczyn w sferze życia społecznego. Tak się w tej chwili powszechnie robi, co nie zawsze i nie w całości jest słuszne. Prawda, że atmosfera powszechnych niedopowiedzeń czy wręcz przeciwnie stwarzająca atmosferę moralnie tak nieznośną, iż dziwne byłoby, gdyby się nie odbiła na słowie piśnianym. Da się to odnieść do prozy i do dramatu, chociaż nie zawsze i nie całkiem. W poezji natomiast mocno się to nie sprawdza. Mogłoby zaważyć na poezji politycznej i rzeczywiście zaważyło, jednak nie poezja polityczna stanowi przecież nurt główny w naszej powojennej literaturze.

Poza tym przełomy polityczne czasem pokrywają się z literackimi, a czasem nie, niezawodnej reguły nато nie ma. Ani doświadczenie de Gaulle'a do władzy we Francji, ani SPD w RFN nie spowodowało jakichś specjalnych zmian w literaturze. Nie spowodował takich zmian i „polski grudzień”, mimo, iż np. Sandauer wszelkimi siłami próbował rok temu to właśnie udowodnić. Czy należy się spodziewać przełomu literackiego teraz? Wątpię. Zależy to przecież nie tylko od siły i rozciągłości społecznego wstrząsu. Wszak nawet taki grom, jak wybuch drugiej wojny światowej, przełomu literackiego bynajmniej nie spowodował. A za to przełomem był rok 1956, tyle, że nie w pełni świadomym siebie, nie do końca rozegranym. Następne lata przyniosły wiele zmian, ale bodaj żadna nie miała charakteru literackiego wstrząsu. Było niezmiernie dużo literackich grup i solidna przygotowanie programów artystycznych. Na ogół powracali w nich wątek romantyczny i żądanie wierności życiu.

Program jednak programem, a literatura literaturą. Na rewolucję Różewiczowska, przykładowo, złożyły się dwa czynniki. Pierwszy to stanowisko poety, który uznał, że człowiek po masakrze nie może być wieszczem, a jedynie „piszczącą myszką”, co najzupełniej odmieniło charakter podmiotu lirycznego. Drugi miał charakter formalny i rewolucyjny zarazem: zmiana zapisu, układu graficznego, rzekome zbliżenie do prozy. Otóż niestety, ukazujące się od czasu do czasu programy w niczym nie odmieniają kształtu poezji i takiej odmiany nie zapowiadają. Zaś bez odmiany poetyki nie ma co mówić o reszcie, choćby poeta pięć fakultetów skończył i wszystkie rozumy pożarł. Zresztą poeci, jak się zdaje, nie chcą lub nie mogą tego zrozumieć, skazując się tym samym na epigoństwie. Rady na to nie ma, mimo, że gardło zdarłem, usiłując indywidual-

nie i zbiorowo wytłumaczyć, o co w tej sprawie chodzi.

Znaczna część kłopotów współczesnej poezji polskiej, wcale nie tylko tej najmłodszej, wyrasta stąd, że główny obszar pustynny był do niedawna uważany za urodzajną oazę. Tym obszarem jest „Awangarda”. Nie wnikając w szczegóły, przypomnijmy, że „Awangarda” zrewolucjonizowała poezję polską, nasycając ją do granic wytrzymałości metaforą, po wtóre zaś domagając się racjonalności na różnych poziomach i wielorakim sensie. Powstała znakomita, miejscami wielka poezja Przybosa, ale przecież i taka, która bez programu „Awangardy” byłaby nie do pomyślenia — od Jalu Kurka po Czechowicza. (Można by się w tej chwili zastanawiać, czy to, co nazywamy „Drugą Awangardą” — od Czechowicza po Zagary, miało z „Awangardą” jakiś związek rzeczowy, ale nie tu miejsce po temu). W każdym razie program ten był punktem wyjścia do bardzo złożonego rozwoju. Od „Awangardy” poprzez Różewicza do Tymoteusza Karpowicza. Tu się zaczęły jednak kłopoty — okazało się bowiem, że złota żyła jest już prawie wyeksploatowana. Odsionia się zaś warstwa pustynnego piasku. Okazało się, że poezja, piętując metaforę na metaforze, straciła kontakt z czytelnikiem, który już nie z tego nie rozumiał, co więcej, nie widział powodów, aby się silić na zrozumienie. Poza tym „Awangarda” odrzuciła „łatwą” śpiewność języka, rym, wyraźny rytm, a także bezpośrednie wyrażanie uczuć. Poezja, w jej rozumieniu, nie mogła być także zabawą, musiała zachowywać zawsze śmiertelną powagę. W istocie ograniczeń było więcej, a z latami możliwości coraz mniej. Ostatecznie przerodziło się to albo w analizę znaczeń, albo wylewnych, bliźniaczo podobnych, żalów w Różewiczowskim półgłosie. Na tym wszystkim stanęło i ani kroku dalej.

Co się zgubiło? Poezja jako źródło zabawy, poezja na modłę nadrealistyczną, poezja o coś naprawdę wojująca, rym, rytmika, czytelnik — słowem sporo. Jeśli spojrzymy na sytuację z tego punktu widzenia, to zrozumiemy, jak marne są przesłanki na przyszłość. Co prawda właśnie pokolenie „Współczesności” przez chwilę jakby się zastanawiało, czy nie skierować się w inną stronę, w szczególną stronę — nadrealizmu. Bowiem nadrealizm — mimo, że przepędzony przez „Awangardę” — jednak tu i ówdzie dawał znać o sobie. Rozmaitość, bez wspólnego frontu. Dałoby się odkryć jego elementy u Gałczyńskiego i Pięta, pobrzmiwał w istocie dosyć nieśmiało u Ważyka, później zaś, już w epoce „Współczesności” nagłe błysnął u Harasymowicza, wczesnego Białoszewskiego, Swena Czachorowskiego, Npwaka, nawet u Grochowiaka. Ale błysnął tylko, nie miał siły w obliczu dominującej ciągle „Awangardy” — zwinąć się naprawdę. To błysnięcie jednak pokazało pewną możliwość, która — jak się zdaje — nie jest całkiem zaprzepaszczone do dzisiaj. Ciekawym jest, że najsilniej objawia się na gruncie innym niż poetycki, że zdaje się zapowiadać coś w prozie...

Drogi prozy były bodaj bardziej zawile niż poezji; nie było tu przede wszystkim takiego „młota” jak „Awangarda”. Wprawdzie „Awangarda” starała się sięgnąć i tutaj — zbyt sprzecywanego programu w tej kwestii jednak nie miała. Zresztą, szkoły w prozie objawiają się zawsze znacznie słabiej. Nadrealizm — jeśli wolno tak przymierzyć — objawił się tu raczej techniką skojarzeniową, niekiedy nadmiernie skojarzeniową, co doprowadziło, zwłaszcza w późniejszych książkach Leopolda Buczkowskiego, do roz-

List otwarty do Sejmu PRL

Mając na uwadze dobro naszej Ojczyzny i zapobieżenie powtarzającym się cyklicznie deformacjom oraz podniesienie autorytetu Władzy, pragniemy podsunąć pod rozagę Sejmu PRL powrót do starego, praktykowanego niegdyś w Naszym Państwie zwyczaju składania przysięgi na wierność Ojczyźnie i Narodowi przez najwyższe osobistości rządowe i państwowe. Uważamy, że ślubowanie wszystkich powoływanych powinno odbywać się w jednym z miejsc uświęconych tradycją historyczną i powinno mieć charakter publicznej uroczystości.

Zarząd Koła Młodych ZLP w Lublinie
S. Aleksandrowicz, Z. Fronczek, U. Jaros, W. Kalabun,
J. Misiec, W. Żelazny

6.03.1981

Do wiadomości:
Przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński
I Sekretarz KC PZPR Stanisław Kania
Premier i Minister Obrony Narodowej gen. Wojciech Jaruzelski
Przewodniczący KRP NSZZ „Solidarność” Lech Wałęsa
Polska Agencja Prasowa
Redakcja „Polityki”
Redakcja „Życia Warszawy”
Redakcja Dziennika Telewizyjnego
Zarząd Główny Związku Literatów Polskich
Wojewoda Lubelski

padu prozy na poszczególne zdania. Dygresyjność zaciążyła także nad twórczością Teodora Parnickiego, tyle że w inny sposób. I też nie jedyny, w jakim nadrealizm może się ucieleśniać. Jeśli się połączy niezwykłość pomysłu z jego konsekwentnym przeprowadzeniem — to w takim ujęciu elementy nadrealistyczne spotykać można u Mroźka, co w groteskach Lema, po trosze u Kuśniewicza, a już na pewno u młodych, u Aleksandra Nawrockiego chociażby.

Szczególnie jednak miejsce wśród młodych zajmuje twórczość Ryszarda Schuberta, przede wszystkim zaś jego „Pana Lilianka”. Cóż to takiego? Zapis strzępów myślenia idioty, bieduli z dna ludzkiego, z nędzy i niesmaku, głupoty i bylejakości. Zapis to jednak szczególny — nie waha się przed zniekształceniem mowy, przekręcaniem słów, neologizmami i tak dalej. Zapewne to jest odmiana poetyki, której z utęsknieniem oczekujemy w poezji. Nie mam jednak pewności, czy to rzeczywiście przełom i to na taką miarę, jaką mu przypisuje Henryk Berez. Ten znakomity skądinąd krytyk widzi w tego rodzaju odnowie języka przełom absolutny. Samym językiem nie da się niestety zrobić wielkiej literatury, niemniej jednak coś tu się rzeczywiście dzieje. Zaczyna i nie u jednego tylko Schuberta, także u Dężdżona, Słyka i innych. Możliwe, że właśnie tu zaczyna się wątek, który będzie ważył w przyszłości. Bądź co bądź tendencja zdaje się nasilać, pojawiają się nowi ludzie, wiele — sumując — może się tu zdarzyć. Mnie osobiście nieco smęci, że (mowa tu przede wszystkim o Schubercie) są tu ludzie i sprawy znakomitej jakości ogólnej czy metafizycznej. Można mówić od rana o „Pannie Liliance” i nic z tego właściwie nie wynika poza tym że świat w jakimś tam procesie składa się z ograniczeń, co ostatecznie taką wielką nowością nie jest. Ale może nie mam racji? Zdarzało się przecież, że literatura o-bierała sobie za przedmiot jednostki nieciekawe i ograniczone, a potrafiła budować obrazy wstrząsające (Faulkner chociażby). Może i w przypadku „młodej prozy” dojdzie do czegoś podobnego, chociaż ja osobiście wolę książki operujące wielopłaszczyznowością świata, w guście, powiedzmy, „Mistrza i Małgorzaty” Bułchakowa. Jest to jednak trudna droga kreacji literackiej i książki tego rodzaju należą do rzadkości. Cud by się stał prawdziwy, gdyby nagle zaczęły się pojawiać częściej, jakkolwiek i w tym względzie można się czegoś tam spodziewać. Np. światów „literackich” na modłę Austro-Węgier. Linia prowadząca od Kuśniewicza przez Wojciechowskiego ciągle jeszcze czeka na kontynuację.

Pośród wszystkich gatunków literackich powieść w tej chwili wydaje się obiecywać i zapowiadać najwięcej. Niestety, nie da się tego powiedzieć o dramacie, z którym jest akurat na odwrót. Są wprawdzie dramaturdzy bardzo sceniczni, tacy jak Iredyński czy Bryll, ale trudno ich przeciw nazwać młodymi. Kontynuatorów zaś jakoś nie widać. Oponentów zresztą także nie. Może jeszcze Iredyński najbardziej byłby predestynowany do stworzenia „szkoły” (o jakichś tego przesłankach można chwilami mówić), ale to przecież autor, który przy znakomitej technice od bardzo dawna nie ma najzupełniej nic nowego do powiedzenia.

Cóż więc by miała do powiedzenia jego „szkoła”? To, na co się w pewnym czasie zanosilo — wielka szkoła groteski — potem zmarniała i poza promocjami gatunku niczego więcej nie przyniosła.

Powróćmy jednak do poetów, najliczniejszej grupy wśród młodych piszących. Impuls nadrealistyczny daje o sobie znać raczej słabawo. Impuls misteryjny, bliski zresztą nadrealizmowi, także specjalnie mocno się nie zaznacza, chociaż, chociaż... Wiele spodziewam się po poezji Jana Leończuka, gdzie i nadrealizm, i specyficzna nuta mistyczna. Oczywiście, gdyby przyszło wymienić młodych twórców, po których z różnych względów można się wiele spodziewać, to trzeba by dorzucić jeszcze kilka nazwisk — Anny Janko, Józefa Barana... Pewne dosyć osobliwe rzeczy czekają nas ze strony Stanisława Esdena-Tempskiego, który zaszokował czytelników tomem „Wytrwale rozwijam swoje złe skłonności”. To nie wszyscy zresztą. W istocie wśród wielu debiutantów ostatnich kilku lat dałoby się wymienić jeszcze kilkunastu obiecujących a kilkudziesięciu nie pozabawionych rzeczywistych zdolności. Tyle, że to wszystko obraca się w mętnej, jałowej już sferze post-awangardowej, z którą doprawdy nie już chyba ciekawego nie da się zrobić.

A może znów jestem w błędzie? Może znajdzie się ktoś, kto ze schedy awangardowej wyprowadzi coś zupełnie nowego, ośniewającego? Któż wie? Natomiast zdecydowanie nie znam i chyba nikt nie zna odpowiedzi na pytanie, czy obecne przemiany społeczne wpłynęły na literaturę. Należałoby się spodziewać, że jeżeli, w ogóle wpłynęła — to w sposób podobny przede wszystkim na dramat i powieść. Nie jest to jednak takie proste. Normalizacja sytuacji społecznej nie wszystkim gatunkom jednakowo sprzyja. Groteska — przykładowo — najpiękniej rozkwita w sytuacji groteskowej. Mroźek miał najwięcej do powiedzenia przed Październikiem, potem zdawał się tracić grunt pod nogami, nikt też naprawdę nie wie, czego właściwie poeci potrzebują do szczęścia w sensie rozwoju talentu. Słynna jest anegdota o arcybiskupie Toledo, który pozwalał żebrać Cerwantesowi, a na monity i oburzenia odpowiadał, że zniszczyłby się dobrobyt jego talentu... Głodny nie będzie jednak lepszym poetą, będzie tylko bardziej nieszczęśliwym człowiekiem.

Jeszcze jedna sprawa. Poezja wraca coraz wyraźniej do zarzuconego rytmu i jak się zdaje — przypomni sobie jeszcze i o rymie (są już pewne zapowiedzi.) Im prędzej to zrobi, tym lepiej. Młodzi poeci powinni już całkiem zrezygnować z wersyfikacji różewiczowskiej i post-różewiczowskiej, bowiem w ich przekonaniu coraz bardziej zaczyna pachnieć zwyczajną grafomanią. Wraca więc znów obowiązek znajomości kunsztu poetyckiego, tak niefrasobliwie odrzuconego kilkadziesiąt lat temu.

PS Tak czy inaczej ciągle jednak czekamy na literackiego Godota. Jaki on będzie, czym nas porwie, czym zachwyci i o czym każe myśleć, najzupełniej nie wiadomo. Żeby miał zrobić to, co zrobił prawdziwy Godot, czyli nie przyść wcale, nie chce mi się nawet wierzyć.

Być może ten trzeci...

JEST was dwóch, już chyba dobrze o tym wiesz, choć cały wysiłek ludzi prowadzących proces zespalania wszelkich struktur w harmonijną jedność szlag trafił, i jest was od pewnego dnia, może godziny, dwóch, choć posługujecie się jednym dowodem osobistym i brudziecie jedną wspólną koszulę noszoną na jednym karku, który was zespała w jedno ciało, choć być może macie dwie twarze, dwa mózgi, być może jeden z was siedzi w lewej, drugi w prawej półkuli mózgowej i nie stawia-

cie z tego powodu żadnych barykad, ale doskonale pamiętacie dni, w których jeden z was za spryt i przebiegłość — co niektórzy nazywają talentem lub ambicją — został wynagrodzony i wystawiony na piedestał, drugi zaś zaszczyt stał w kącie z uczuciem poniżenia i wielkiej przegranej.

Jeden z was wymknie się wszelkim spisom ludności, nie rozszarpia go karty meldunkowe i przez to ewidencja ludności zostanie zubożona o jedną wielką liczbę, choć być może któregoś dnia poczujesz się niepewnie i

spoconym z strachu dłońmi przekreślasz nerwowo klucz w drzwiach, zamkniesz się przed wszystkimi spojrzeniami, a to tylko z powodu gazet, a raczej niesprawdzonej wiadomości: „Pod koniec ubiegłego miesiąca miasto nasze liczyło 305 783 i pół mieszkańca”.

Ktoś wreszcie odkryje tę twoją drugość, połowiczność i zostaniesz wzięty pod obserwację nieznanych ludzi, choć być może ten trzeci nie będzie sam cały, jednolity i poczujesz jeszcze jeden, jeszcze trzeci brud na wspólnej koszuli.

Wracasz do domu, godzina 2.28, noc, czyjeś kroki za plecami, jeszcze ciche, niewyraźne, jakby niepewne, jakby nieprawdziwe, ale przecież dobrze wiesz: ktoś idzie za twoim kołnierzykiem, kątem oka widzisz, zasłaniający ci widok na boki, kosmyk ciemnych włosów. Przerznięty lekkiem, podzielony na drobne kawałki słów, a pozyskany zimnem i zwierzęcym pragnieniem ciepłego domu, czujesz ten krąg ciepła otaczający tego, który idzie za

tobą; rozpalona ręka kołysze się koło twojej, coraz bliżej, jeszcze chwila, jeszcze chwila i masz pewność, ten, który idzie za mną, to ja, to mój oddech, to moje kroki, moje ciepło, to mój strach, moje zimno.

Już obaj w doskonałej symbiozie, już trzaska we wspólnym wnętrzu jeden ogień, jeden chłód i jest tak blisko od braku strachu aż do 2.43, 2.44 — tamten gwałtownie chwytą cię za rękaw, spoglądasz w jego przekrwione czerwona siateczką źyłek oczy, czujesz ciepło jego spierzchniętych warg, wpatrujesz się w półokle od tytoniu zęby i kiedy niczego nie podejrzewasz, on sprzedaje ci szorstkie słowa: *Twoje serce jest jak pusty postój*

taksówek noc,
nikt nie będzie dzwonił,
nie ma żadnej kratki na ratunek,
nie ma żadnego ratunku dla krwi.

I choć być może ten trzeci z policzkiem przytulonym do zimnej ściany śmieje się z was obu zza rogu ulicy, szukasz w myślach azylu dla całej trójki.

Mój traktat filozoficzny

DLACZEGO więc piszemy swój traktat filozoficzny, jedni skrobiąc piórkami, długopisem, ołówkiem, inni wydeptując — z urzędu do urzędu, z kościoła do domu, z pracy do szkoły, z nic w nic — wiarę w słuszność swojego dreptania godziennego?

Czy jest wynikiem tylko doświadczenia, przypadku, zabobonu, czy też ingerencji sił wyższych to, że z ustalonym gestem kupujemy gazetę, kochamy bliźniego swego (jak pieniądze jego), przyjmujemy wiarę w określone siły wyższe, odwołujemy się a nie

inne domy, że stajemy się dla siebie głuchoniemi bohaterami w korytarzach pociągów bez przeznaczenia?

Grafomani — grafomanem jest każdy wieszcz, poeta, powieściopisarz, obywateliopisarz — piszą ze strachu przed starością i pisanie służy właśnie ochronie przed starością, stanowi raczej alibi dla świadomości wobec całej ludzkości. A jest to alibi równie niepewne co słowa powiedziane, choć czarno na białym jest, że ja piszący niniejszy traktat jestem ZA. Lecz niech was nie zwodzi układność mojej mowy i nie-

udolność sprasowanego pióra, albowiem jest wiadomo, wszem i wobec, że jestem również PRZECIWI, i to stanowczo. Dlatego też — i w tym miejscu można wyznaczyć genezę tego, co napisałem — układam swój traktat filozoficzny.

Każdy z nas powinien misternie zastanowić się nad żelazną konstrukcją swojego traktatu lub oplakać jego rdzewiejący szkielec, niekształtność formy czy też w ogóle brak traktatu — sytuacja ostatnia predysponuje do bezwzględnej strzeleńia sobie w lew, z lewej lub z prawej strony.

My-woj piszący bawimy-bawicie się w traktatomanię, urzeka nas-was chwila-literalnego porodu filozoficznego traktatu z podmiotem lirycznym, ba, nawet z bohaterem lirycznym — to zależy, na czyje zamówienie piszemy — ale poród taki jest istnym poronieniem. Albowiem uprzedzam, że traktatomania jak i w ogóle cała traktatologia nie jest rzeczą właściwą tylko traktatarzom, nie jest wspólną nam wszystkim, a nawet bardziej traktatyzm niż traktatarzom, których równie dobrze można nazwać traktatorzy-

stami. Nie ma bowiem nic bardziej sugestywnego od traktatu właśnie pijanego traktatorzysty, który w swoim wyzmelcowanym kambeznie dobrze wie, że nie grozi mu żadne wciągnięcie do literatury pięknej (okres produkcyjniaków minął), a najbardziej do poezji, ani tym bardziej megalians — małżeństwo ze spikerką TVP.

I jeżeli przez zieloność mojego pokoju i nieskazitelność białego światła przekrada się szkaradnie wyleniata świnią kłapiąca uszami, to jest rzeczą pewną, że mój przyjaciel puszcza swój traktat w ruch i jest on w danej chwili w fazie trzo. podkładania...

— Panie Kwiatkowski, panie Kwiatkowski, co się pan tak zaczytał. Daj no pan trzy browarki, bo mnie suszy. Ruch coś dziś słaby na wybiegu. Panie Kwiatkowski, w pana wieku już nie wypada zajmować się szubrym piśaniem. Lepiej by pan sprowadził więcej piwka.

„Szewc Golanko to istny dureń, beztraktatowiec” — myśli pan Kwiatkowski, sprzedawca piwa na tarasie podłej kawiarni, i zabiera się do dalszej lektury swojego traktatu filozoficznego.

Mirosława Niewińska

DZIEWCZYNIĘ

warkocz upadł
podnieś
kochasz włosy
nie wierzysz dzisiaj
że Samson może wracać na ziemię
lekko przed siebie
to nie do tańca
to jeszcze echo kołysanki słychać
podnieś warkocz

Urszula Jaros

do jakiej wódki może dorosnąć kobieta
żeby umiała rodzić zdrowe dzieci
żeby w ogóle umiała rodzić
żeby wiedziała że tego bardzo chce

żeby umiała jeszcze kogoś kochać
i nie myślała o środku na śmierć

do jakiej wódki może dorosnąć kobieta
żeby wiedziała że może bez niej się obyć
by była jedrnostką i opocująca
— cokolwiek by to było — wierząc pomyśl
obiad dla rodziny

by była ciepłorodzinna
gościnna i schłodna
by nie musiała się wstydzic
oddechów gorzkich rozedrganych rąk
by potrafiła mieć własny dom
i trochę uczuć bliźnich wyższych od litości

Powiedzcie mi którędy mam iść...

NIEDAWNO wydawnictwo „Lskry” opublikowało debiutancki tomik poezji Stanisława Żurka. „Taka mała wigilia” — to brzydka, szara książeczka, o niezbyt fortunnie dobranej szacie graficznej, której to szaty autorstwo — na domiar złego — przypisano komuś innemu (jak wynika z erraty), co w praktyce wydawniczej jest błędem karygodnym! Oczywiście, że nie uroda graficzna świadczy o zawartości książeczki, ale i nie zachęca do zainteresowania się nią. No cóż, i renomowane stołeczne oficyny potrafią wydawać byle jak, co widać szczególnie w zestawieniu z najnowszą produkcją Wydawnictwa Lubelskiego, np. pięknie wydanym tomem wierszy Henryka Makarskiego, czy tomami almanachu „Akcent”.

Z trzydziestu dziewięciu wierszy, zamieszczonych w tomiku Żurka, zorientować się można, że pisał je poeta o ukształtowanym już i dojrzałym spojrzeniu. Trudno jednak znaleźć w tych wierszach jeden klucz do zrozumienia całości tekstów. Jest w nich dużo różnych ingrediencji, począwszy od pytań natury egzystencjonalnej:

i sypnie bółem w oczy
ciemność
gdy w ziemię wchodząc — a to zwyczajna
kolej drogi zasypywana ziarenkami
piasku...

poprzez konflikty etyczne:
aby je zobaczyć oślepnąć trzeba
troję zburzyć i na ruinach o sens zapytać
czy gorzką świadomością rzeczywistości:
wierz mi przyjacielu
i ty jeszcze zagrasz rolę
nie wkładając maski
nie zdejmując twarzy

Czasem jest to wręcz ostra groteska czy pesymistyczna zaduma nad filozofią życia, która nie często uczciwie pomaga rozwiązać

problemy naszej egzystencji, a już na pewno nie tak, jakby chciał poeta:

powiedzcie mi którądy mam iść
aby moja droga nie odeszła od was

Błądzi jeszcze Żurek, a wraz z nim jego poezja, jak stereotypowy Odys, którego spotykamy w wierszach „Odyseje nasze” czy „Antyfony”, szukając odpowiedzi na nietrawne pytania natury ontologicznej.

Chociaż świat poetyckich refleksji Żurka jest pozornie bardzo pesymistyczny, pełen gorczy, a szczególnie dużo tam swoistej ironii, jednak gdy się wczyta dokładnie w te teksty, są to w dużej mierze tylko „czarne” pozory, ponieważ Żurek jest pełen dobrych nadziei. Buduje swój świat poezji na uczciwości wobec otaczających go ludzi, a przede wszystkim na uczciwości wobec siebie samego.

Nie jest to jeszcze poezja „górných lotów”, w niektórych momentach zbyt ogólnikowa i miálka, pozbawiona często tego „ukłucia” w zakończeniu, uwypuklającego istotę mądrze rozwijanej myśli. Widać jednak, że poeta potrafi już wydobyć ekstrakt ze swoich doświadczeń, obserwacji i przemyśleń. Jeśli z tego bogactwa poetyckich pierwiastków — wymieszanych z sobą — nauczy się Stanisław Żurek czyścić destylować konkretne obrazy i formułować jeszcze prostsze zdania, wtedy będzie wiedział, którądy ma iść...

Anna Koziolkiewicz

„Zróżdła”

Kolumny zredagowali:
Jerzy Krzysztof Misiec, Waldemar Żelazny, Stanisław Żurek

Witold G. Lębork. W jednym wierszu „Zolnierze wspinają się na szczyt oddechu”, w drugim i trzecim znów przetworzony motyw oddechu. Kłopot jednak nie w powtarzalności motywów, lecz w niespójności metafor i graficznie zamkniętych całościach. Pochylił się nad jedną z nich:

*słowa których ciężar
nie pochylił galezi w bezlistne
noce*

Niby tu wszystko w porządku jest czytelną łącznością składniowo-znaczeniową, jest ładna przenośnia („bezlistne noce”), lecz całość poetycko pusta, ponieważ nie znajdujemy w niej ani logicznego, ani emocjonalnego, ani też przenośnego uzasadnienia skutków faktu, że „słowa nie pochyliły galezi w bezlistne noce”. Obronną ręką z takiego zarzutu wychodzi już następna fraza: *tearze przesłuchań*

*okrągowane światłem nadziei
pozwalają nam żyć*
Podobnie ma się z początkiem wiersza „Dziadek”:

*Bolą go
wzruszające wyrwane zęby uśmiechów
krzyże emerytury medale
stracone za odwagę*
Stanowi ten fragment klasyczny przykład dobrej pointy nowoczesnego wiersza: przez trzy linijki brniemy dość nudnawo, jak przez szary korytarz, i nagle w końcu rozbylsk: „stracone za odwagę”. Co z tego, skoro dalej, już do końca utworu trwa szary, nijaki korytarz, włącznie z jeszcze raz przywołanym umiłowanym „oddechem”.

Shawoim T. Złotyja. „Dlaczego marzenie — zdecydowanie najlepsze, lecz zarówno ten jak i pozostałe utwory nie spełniają warunków druku.

Ditos Pacos. Stalowa Wola, Ditos Pacos (w esperanto „palec pokoju”) to dźwięczny pseudonim, co zresztą uzasadnione ogólnym wranieniem z nadesłanych utworów. Są one raczej tekstami do piosenek lub pieśni, zaangazowanych w aktualną „sprawę polską”. Neruda, Norwid, Konopnicka — rozległość poetyckich paralel i kontekstów intelektualnych z pewnością znacząca; a także szybkość, z jaką zareagował Pan na wzmiankę o potrzebie poezji „posierpniowej”. Tekstów piosenek wszakże nie drukujemy, natomiast opublikowanie ich w randze utworów poetyckich stanowiłoby ich zbytnią nobilitację.

Henryk T. Zdzichowice. Pyta Pan o możliwość zatrudnienia Pana w „Kamieniu” na etacie tłumacza z języków: francuskiego, rosyjskiego, angielskiego i włoskiego. Otóż taka możliwość w „Kamieniu”, a w ogóle precedens zatrudnienia tłumacza wyłącznie na etacie tłumaczy w pismach społeczno-kulturalnych nie istnieje, choć na taki luksus może kiedyś będziemy sobie pozwalać. Chętnie natomiast, i to od zaraz, możemy nawiązać z Panem współpracę translatorską w zakresie tekstów literackich z wymienionych obszarów językowych. Prosimy o próbki zainteresowań i możliwości w tym zakresie.

Piotr D. Rozkosz. Odpowiedź — w jednym z poprzednich numerów. Jerzy Dariusz J. Kielce. Tylko trzy wiersze, a każdy z innej poetyckiej stajni, przy czym wszystkie nieudane i pretensjonalne. „Przed...” to przecież Białoszewski z okresu jego najsmielszych eksperymentów słowotwórczych.

Piotr K. Sanok. „Najbardziej podobal mi się wiersz Janusza Kawalki pt. „Mitosz”, którego nauczyłem się na pamięć i recytuję dość często”. To miłe dla autora, gdy dowiaduje się, że jest inny poeta, który recytuje z upodobaniem jego utwór. A już zdawało mi się, że współczesnych poetów stać jedynie na zimną zawiść i deprecjonowanie rywali. Ten szlachetny gest nie zmienia jednak recepty Pana utworów, wyrażonej zresztą już poprzednio.

Witold K. Gliwice. Niestety, nie podejmujemy tego ryzyka.

H. P.

Otrzymałmy odpowiedź od dyrektora LSS, Piotra Drzewieckiego w związku z sygnałami o nieprawidłowościach w pracy lubelskiego handlu (opublikowanymi w nr 7 „Kamienia”). „Dyplomatyczna” ta odpowiedź nie w pełni może usatysfakcjonować i nasuwa uwagi krytyczne oraz problemy, których jednak nie pomieściliby niniejsza rubryka. Toteż w najbliższej przyszłości — celem szerszego omówienia spraw handlu w Lublinie — zamierzamy zorganizować spotkanie reprezentantów Klubu z dyrektorem Drzewieckim, który zresztą zgłosił chęć uczestnictwa w działalności Klubu.

Tymczasem z pisma LSS cytujemy jeden pocieszający fragment: „Ostatnio sprzedaż napojów alkoholowych wycofana została z 51 sklepów. W akcji tej uwzględnione zostały przede wszystkim sklepy spożywcze. Obecnie wyroby alkoholowe sprzedawane są w 97 placówkach. W osiedlach, gdzie prowadzone są budowy, sprzedaż wyrobów alkoholowych prowadzona jest od godz. 16-tej”. Czekamy na informacje od członków Klubu i czytelników, czy zasada zawarta w tym ostatnim zdaniu jest praktycznie przestrzegana.

Nie otrzymałmy wprawdzie do tej chwili odpowiedzi od prezydenta Longina Zielińskiego w sprawie zorganizowania tymczasowych ogródków działkowych na terenach LSM przeznaczonych pod budowę przyszłego parku (patrz „Kamena” nr 8), ale według naszego rozeznania sprawa dość dyna-



**„STRZALY
W REZERWACIE”**

Odpowiadając na artykuł p. Stanisława Harasimiuka pt. „Strzały w rezerwacie”, zamieszczony w „Kamieniu” nr 7 (727) z dnia 29 marca 1981 r., wyjaśniamy:

— Roztoczański Park Narodowy powstał na mocy rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 10.V.1974 r. (Dz. U. nr 21 poz. 120 i nr 31 poz. 187) i rozporządzenia z dnia 14.XII.1979 r. (Dz. U. nr 27, poz. 159) — aktualnie powierzchnia wynosi 8223,87 ha.

Jak w każdym parku narodowym, tak również w roztoczańskim poszczególne części obszaru parku, z wyjątkiem terenów zabudowanych lub pozostałych w użytkowaniu rolniczym, podlegają ochronie ścisłej (rezerwaty ścisłe stanowią 7 proc. powierzchni) lub ochronie częściowej (rezerwaty częściowe stanowią 93 proc. powierzchni).

Zgodnie z § 5 ust. 1 przytoczonego rozporządzenia, ochrona ścisła zmierza do zachowania w stanie nienaruszonym całości przyrody. Ochrona częściowa zmierza do przywrócenia przyrodzie stanu naturalnego. Realizuje się to przez stosowanie odpowiednich zabiegów pielęgnacyjno-hodowlanych i ochronnych, zgodnie z § 3 i 7 rozporządzenia Rady Ministrów o utworzeniu RPN.

Zarządzeniem wykonawczym dla orowania gospodarstwa rezerwatowego jest decyzja Nr 35 Ministra Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego z 14.VII.1974 r. Szczegółowe wytyczne do prowadzenia gospodarki lo-

WOJEWÓDZKI KLUB KONSUMENTÓW

micznie ruszyła z miejsca, a to jest najważniejsze. Część tych terenów jest już obecnie porządkowana przez miasto z myślą o szybkim przekazaniu działkowiczom. Kwestię ową zamierzamy wytrwale śledzić w działalności Klubu i oczywiście oczekujemy na sygnały jej dotyczącej.

Pamiętajmy, że warzywa z ogródków działkowych są przeważnie produkowane na nawozach naturalnych i jako takie — najbardziej wskazane dla dzieci, kobiet ciężarnych i matek karmiących.

Zarząd Wojewódzki Ligi Kobiąt w Lublinie poinformował nas, że z dniem 8 IV br. powołał Społeczną Poradnię Gospodarstwa Domowego w naszym mieście, nazwaną „Mój Dom”, gdzie można uzyskać bezpłatne porady w zakresie żywienia rodziny, odzieży i dziewiarstwa ręcznego oraz higieny i kosmetyki (w każdą środę tygodnia w godz. 15.00 — 17.00). Poradnia apeluje też o nadsyłanie informacji z rynku konsumenneckiego o towarach i usługach.

W ogóle trzeba powiedzieć, że jeśli idzie o lubelską Ligę Kobiąt, to idea ruchu konsumenneckiego trafiła na bardzo podatny grunt. Nic zresztą dziwnego, jak bowiem czytamy w piśmie Zarządu Wojewódzkiego — „obecna sytuacja kryzysowa na rynku najdotkliwiej jest odczuwana przez kobiety. Na bar-

kach kobiet — pracujących i niepracujących zawodowo — z tradycji ciąży głównie obowiązek organizowania i zarządzania domem, mieszkaniem, zabezpieczenia wyżywienia rodziny, wykonania większości usług domowych i planowania codziennych wydatków”.

Z listu czytelnika (nazwisko i adres zastrzeżone do wiadomości redakcji): „W pobliżu domu przy ul. Skrzatów są trzy sklepy — spożywczy, warzywniczy i mięsny. I widok na zaplecze tych sklepów jest bardzo interesujący... Niektóre osoby artykuły deficytowe wywożą samochodami prywatnymi, podstawionymi przy zapleczach tych sklepów. Śmietnik w pobliżu sklepów pełen jest opakowań po artykułach atrakcyjnych, których nie kupi przeciętny klient”...

Nr 1 „Tygodnika Solidarność” publikuje m.in. rozmowę z Krzysztofem Skierkowskim, prezesem Klubu Ekspertów Żywienia przy Federacji Konsumentów. Dowiadujemy się na przykład, że pieczywo ciemne jest zdrowsze od białego, a spożywanie przez dzieci drobiu hodowanego przemysłowo nie powinno być częstsze niż raz na dwa tygodnie.

MP

wiekiej zostały opracowane przez Instytut Badawczy Leśnictwa w Warszawie. Zakład Gospodarki Łowieckiej na zlecenie RPN. Tytuł opracowania brzmi: „Łowiecki plan hodowlany na rok 1975/76 i kierunki prowadzenia gospodarki łowieckiej na terenie Roztoczańskiego Parku Narodowego”. Zasady te określone są następująco:

1) podstawowym obiektem ochrony są zespoły leśne i temu celowi musi być podporządkowane gospodarowanie zwierzyną.

2) pogląd zwierzyną powinno być utrzymywane na poziomie określonym przez naturalną pojemność wyżywieniową tych terenów.

Dla utrzymania więc stanu ilościowego odpowiadającego właściwej obsadzie konieczne jest prowadzenie redukcji zwierzyną w ramach rocznego planu ustalonego wg. obowiązujących zasad. Podobne zasady obowiązują w zakresie zabiegów pielęgnacyjno-hodowlanych, prowadzonych w ramach tegoż gospodarstwa rezerwatowego w drzewostanach parku, w wyniku których pozyskuje się masę drewna w ilości około 9000 m sześć. rocznie. Z tą jednak różnicą, że wycinanie drzew wykonują uprawnieni drwale, przy nadzorze administracji parku, natomiast redukcji zwierzyną dokonują uprawnieni myśliwi, członkowie Polskiego Związku Łowieckiego. Teren parku narodowego w myśl ustawy łowieckiej nie stanowi obwodu łowieckiego. Sposób i zasady prowadzenia redukcji zwierzyną nie są polowaniem w myśl tejże ustawy, podobnie jak wycinanie drzew nie jest użytkowaniem, gdyż jeden i drugi zabieg zmierza do zachowania obszaru chronionego w stanie najbardziej zbliżonym do naturalnego, a to jest głównym celem każdego parku. Dotyczy to rezerwatów częściowych czyli w wypadku RPN — 93 proc. powierzchni.

Nieprawdą jest, że redukcja zwierzyną była przywilejem prominentów i pracowników parku. Myśliwi spoza miejscowych kół łowieckich dokonali redukcji na terenie parku w granicach 5—10 proc. Udokumentowane jest to w prowadzonej od początku powstania RPN ewidencji odstrzałów. Nieznane są nam przypadki niezgodnego z zasadami dokonywania redukcji zwierzyną, tak jak sugeruje to autor artykułu (strzelanie z samochodu).

Zastępca dyrektora RPN, mgr inż. Andrzej Kawecki, był do 1979 r. jedynym pracownikiem parku będącym członkiem PZŁ

i selekcjonerem zwierzyną plowej. Mógł więc dokonywać redukcji zwierzyną w ramach określonych planem. Wykonywał to, nie popełniając w tym zakresie sugerowanych w artykule p. St. Harasimiuka wykroczeń.

Nieprawdą jest także informacja, jakoby na terenie RPN istniały dachy myśliwskie. Posiadamy natomiast standardowy domek campingowy.

Zawarte w wypowiedziach p. St. Harasimiuka oskarżenia dotyczące zarówno zasad gospodarki rezerwatowej jak i działalności zastępcy dyrektora oraz prominentów są bezpodstawne, złośliwe i krzywdzące. Jeżeli już redaktor St. Harasimiuk chciał coś napisać o parku, ochronie przyrody lub łowieckiej, powinien posiłkować w tym zakresie informację skonfrontować z osobami kompetentnymi.

Z uwagi na szkodliwość społeczną artykułu St. Harasimiuka opublikowanego w Waszym poczytnym czasopiśmie, prosimy o zamieszczenie niniejszego wyjaśnienia. Stojmy na stanowisku, iż obecny okres odnowy i rozliczeń nie może być pretekstem do publikowania niezgodnych z prawdą i szkodliwie dezinformujących artykułów w tak ważnym temacie jak m. in. ochrona środowiska.

Prosimy również o sprostowanie nazwiska adiunkta parku mgr inż. Jana Kraczkę prowadzącego gospodarstwo rezerwatowe, a nie, jak to sugeruje p. St. Harasimiuk, zajmującego się „gospodarką łowiecką”.

Dyrektor
Zdzisław Kotuła
Za komisję Zakładową NSZZ
„Solidarność”:

Andrzej Tittenbrun
Maria Wcisło
Maria Bielak

Stanisław Harasimiuk, nasz współpracownik, nie może ustosunkować się do tego listu, ponieważ przebywa obecnie za granicą. O ile nam wiadomo, w swoim artykule oparł się on głównie o ustalenia Okręgowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej w Lublinie.

Red.

KRONIKA

● Cezary Łukaszczyk z odlewni lubelskiej FSC, podczas spotkania pracowników z W. Krukami: — Nie chcemy mówić: my i oni. Nie chcemy, aby nas rozdzielała przynależność do PZPR, „Solidarności”, związków branżowych. Wszyscy jesteśmy Polakami.

● W Miesiącu Pamięci Narodowej przypomniamy, że z ponad 1000 funkcjonariuszy załogi SS obozu na Majdanku tylko 113 stanęło przed sądem, ponosząc kary za popełnione przestępstwa.

● Resort kultury nie zgodził się na propozycję lubelskich władz wojewódzkich, które zabiegały o wprowadzenie budowy teatru i filharmonii do planu centralnego (i nadal czynią o to starania). W obrębie obiektu prowadzone są obecnie jakieś prace, ale nie miejmy złudzeń, że w 1984 roku, jak planowano, przybytek przyjmie pierwszą publiczność. 1 mln rubli i ponad 700 tys. dolarów potrzeba na sprostowanie i zagranicy wyposażenia technicznego dla gmachu.

● Obywatel Janusz Biegaj zbudował sobie kole domu w Kraśniku chlewnie, która od 1978 roku zatrzaflała powietrze i życie jego sąsiadów. Zdesperowana kobieta stała więc protesty do władz lokalnych i wysokich,

które, owszem, wszystkie wydały opinie o konieczności likwidacji hodowli, zupełnie nie interesując się realnymi skutkami swoich decyzji. Zatem Biegaj świnie trzyma nadal, kpiąc sobie chyba po cichu z: Ministerstwa Zdrowia, wojewody lubelskiego, woj. inspektora „Sanepid”, prokuratury różnych szczebli, naczelnika miasta. Jak tu się dziwić, że władze nie mają autorytetu skoro same się lekceważą?!

● Na początku kwietnia we Lwowie, o którym tak pięknie pisał niedługo Józef Wittlin, podpisano program współpracy naukowej między tamtejszym Uniwersytem im. Iwana Franki i lubelskim UMCS.

● 29 osób zabitych i 250 rannych — oto przynębiające rezultaty 231 wypadków drogowych, jakie zdarzyły się w minionym roku na ulicach Lublina. Jedną z przyczyn — niedostateczne oświetlenie ulic, np. Nadbystrzyckiej.

● Wystąpił w Lublinie nowy akademicki zespół pieśni i tańca, co prasa odnotowała z sympatią. A na ciekawki, co sądzą o takich wielkich zespołach folklorystycznych sami studenci? Czy na przykład chętnie oglądają występy tańczących kolegów?

● Dyrektor Filharmonii Lubelskiej, Adam Nataneł, dyrygował orkiestrą symfoniczną w Hradcu Kralowem i operową w Czeskiej Budziejowicach. Po powrocie zapytany muzyka, co w tym ostatnim mieście myślał o szacnym Szwejku.

● Kilka lat temu gnieźnieńskie Muzeum Początków Państwa Polskiego wypożyczyło z Kozłówek 48 obrazów z czasów realizmu socjalistycznego i ani myśli je oddać. Czy to znaczy, że znów zmieniamy chronologię po-

czątków naszego państwa? Rośnie zainteresowanie muzeów plastyką powstającą w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, żal serce ścisła, że już dawno wypuściliśmy z kozłowieckiego pałacu sztandarowy obraz tamtej epoki — „Podaj cegłę!” Aleksandra Kobzdej, który trafił bodaj do Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

● Wobec rozgorączkowania wokół spalczyni po Zenonie Kononowicz, które nie sprzyja spokojnemu rozważeniu ważnej kwestii proponujemy bez emocji, ale jednoznacznie, aby muzeum biograficzne malarza, połączone z okazją ekspozycja jego twórczości, urządzić w odpowiedniej kamienicy Staro Miasta, które przecież w najbliższych latach stanie się faktycznym centrum kulturowym Lublina. Kononowicz chętnie malował i rysował staromiejskie motywy — oto dodatkowy argument za lokalizacją muzeum.

● Kabaret „Jeż” miał dobrą premierę. Oto jeden z tekstów K. Pawełka: „Na wszelki wypadek, na wszelki wypadek /raz czyta „Kapitał”, raz modli się dziadek /Na wszelki wypadek, na wszelki wypadek/ my także dość często idziemy tym śladem...”

● Sprostowanie: w poprzednim numerze „Kamienia” mylnie przypisano autorstwo zdjęcia przedstawiającego W. Ziolkowskiego red. W. Steniolowi, za co ani nasz fotoreporter, ani autor artykułu nie ponoszą winy. Przepraszamy. (Autorem zdjęcia jest prawdopodobnie sam W. Ziolkowski czyli jest to autoportret).

SŁOWO „socjalizm” rozumiane jest jako ustroj społeczny, którego celem stanowi osiągnięcie równości ludzi nie tylko pod względem materialnym, ale także pod względem materialnym i moralnym. Chodzi tu więc o materialne zrównanie ludzi w zakresie płac, świadczeń socjalnych itp., które nazywa się też egalitaryzmem; co dotyczy zrównania zaś — komunizmem. A czym jest demokracja? Demokracja nie oznacza nigdy i nie oznacza takiego zrównywania ludzi, oznacza natomiast zrównywanie ich pod względem politycznym. Ale równość tego rodzaju to tylko równość formalna-prawa. Gwarantuje ona wszystkim obywatelom możliwość wybierania przedstawicieli do władz wszystkich szczebli w powszechnym głosowaniu. Wybory muszą być oczywiście równe, wolne itp. W głosowaniu tym każdy może być wybrany do sprawowania najwyższego urzędu państwowego; nie mówiąc już o tym, że może być wybrany i pełnić określone funkcje we władzach niższych. Demokracja stwarza również możliwość kontroli i korekty decyzji władz różnych szczebli, ale i to nie oznacza wcale zrównania wszystkich obywateli pod każdym względem; a przede wszystkim nie oznacza zrównania, pod względem materialnym, ekonomicznym, majątkowym. Z ustroju nazywanego demokratycznym nie wynikają tedy żadne inne prawa niż te o których tu mowa.

Te proste prawdy warto przypomnieć teraz u nas, w naszym kraju, gdzie mówi się dużo na temat demokracji i socjalizmu. Warto tym bardziej, że wypowiadając słowo „demokracja”, domagając się demokratyzacji życia społecznego, ma się na myśli

zwiększenie władzy, niż tylko to, by być wybrany i wybierać do władzy państwowych i samorządowych, i nie tylko to, by kontrolować owe władze, ale i krytykować itp. Domagając się demokracji, mamy, ogólnie rzecz biorąc, na uwadze nie tylko równość formalną (polityczną), ale także ekonomiczną, tj. zrównywanie wszystkich pod względem płac, emerytur, rent itp. Szerokiemu ogólnemu zależy zatem nie tylko na demokracji, lecz w jeszcze

bardziej przejawiającej się raczej socjalizm niż demokracja. Demokracja istnieje również w USA, ale czy przychodzi tam komu do głowy kwestionować prawo posiadania woli, choćby nawet własności gangstera, jeśli nie byłoby dowodów, że pochodzi ona z rabunki? Oczywiście, że nie, nawet gdyby chciano ją przeznaczyć na przykład dla bezdomnych sierot. Ale nasza mentalność jest całkiem inna...

to są nam teraz bardzo potrzebne. Żeby słowa te nabraly właściwego znaczenia, musi właściwego znaczenia nabrać rzeczywistość, o której one mówią, rzeczywistość, która stała się nieadekwatna do owych słów.

Słowami tymi posługiwała się w latach kuglarstwo-magicznych bardzo często władza; teraz potrzebne są odnowienie. Mówiło się nieraz, że moralność socjalistyczna jest mitem, wymysłem, ale okazało się przecież, że na jej zasady powoływano się nawet, nie używając oczywiście jej nazwy, w czasie strajków na Wybrzeżu. Sprawiedliwość, solidarność, uczciwość, troska o mieme społeczne, równouprawnienie — to przecież podstawowe zasady właściwej pojętej moralności socjalistycznej. W świadomości społecznej są one ważne, przynajmniej jako cele, od dawna. O tych normach mówiło się jednak zazwyczaj od święta, przeważnie przed wyborami, nie mówiło się w każdym razie nie respektowano ich na codzień, i to najczęściej nie respektowano u góry. Nie urzeczywistniały się szerzej, gdyż nie było po temu sprzyjających warunków; warunki te stają się teraz faktem.

Moralność to nie tylko zewnętrzne zakazy i nakazy, to także wewnętrzna imperatywa oraz sprawa świadomości społecznej i indywidualnej; moralność nie może funkcjonować wyłącznie jako coś w rodzaju dodatku do państwa, prawa, i państwa, i prawu może przysłać się na coś, jeśli wynika z wewnętrznych przekonań obywateli. W najgorszym przypadku może świadczyć o rozbieżnościach między państwem a społeczeństwem; jeśli jednak obowiązujący porządek państwowo-prawny zgodny jest z wewnętrznymi przekonaniami obywateli, moralność może stać się podporą tego porządku.

Socjalizm i demokracja

Henryk Borowski

większym stopniu na zrównaniu ludzi pod każdym względem; zależy zatem na socjalizmie, albo (gdyby nie te wytarłe słowa) na demokracji socjalistycznej. Z uwagi na dewaluację owych słów dążenia społeczeństwa wyrażane są przy pomocy terminu „demokracja”. Jest to duże nieporozumienie. Zważywszy jednak, że to, co się myśli, ważniejsze jest od tego, co się mówi, ważniejsze są treści niż formy, trzeba powiedzieć, iż powszechnym dążeniem najszerzych warstw jest to, co stanowi istotę socjalizmu raczej niż demokracji. W dążeniach rewindykacyjnych, w akcjach mających na ce-

Demokrację byłoby oczywiście łatwiej zaprowadzić, aniżeli socjalizm; ale socjalizm niemożliwy jest bez demokracji i dlatego też całkiem słusne społeczeństwo domaga się i jednego, i drugiego. Tylko że słowo „domaga się” nie jest tu właściwe; ani jedno, ani drugie nie nastąpi jedynie na skutek pobożnych życzeń; właściwe byłoby tu stwierdzenie, że społeczeństwo „realizuje” socjalizm i demokrację.

Należy przywrócić właściwy sens takim słowom jak: demokracja socjalistyczna, moralność socjalistyczna, innym podobnym, ponieważ określenia

guzami. Pod fotografią w zielonkowej metalicznej tonacji znajdowała się dedykacja: „Młodzi słowotwórcy ku spłonięciu ich rasowego Sprawunku”.

Treść samej dziejówki w 18 odnośnikach i tytuł „Zamroczach” przeniosła mnie w legendarne czasy Krakowa, którego ojciec — jak informował tekst — był nieмым kowalem z Ojcowa, pozostawiając języka za to, że „w skrytości namiętnie dźwiał i Młódz Ludu zabronionego Bogobrodzi, że wiał plebany o żywotach bohaterów i świętości Bogorodów”.

Niestety, język samego autora okazał się dla mnie za trudny, po kilku stronach odłożyłem dziejówkę, zdążywszy tylko zanotować, że poza Krakowem, dziejówką, chłopcem, Rege Rege (żaba „zielona z białym podbrzuszem”) i chorami występuje w niej legoniosko imieniem Bajbajoc, który chodzi w łachmanach, na tyślej głowie nosi koronę z kwiatów, „mówił brzmieniem ruskim”, a trudnił się snuciem legend i bajdurzeniem o charakterze ideologicznej indoktrynacji.

Czytelnicy bardziej zorientowani w historii sztuki polskiej dwudziestolecia międzywojennego zdążyli się już zapewne zorientować, że autorem owej dziejówki nie mógł być nikt inny, jak Stach z Warty Szukalski, twórca i wódz „Szczepu Szukalszczyków herbu Bogate Srebrze”, czyli grupy artystycznej, skupiającej malarzy, rysowników i rzeźbiarzy tamtego czasu.

O Szukalskim pisuje się u nas okazjonalnie, na ogół krytycznie, w czym oczywiście nie uczestniczę, zalewający rzeczywistość wielkim, acz czeszczywo tylko spełnionym talentem tego człowieka. Do przypomnienia postaci autora okrutnych panifletów na sztukę polską skłania mnie znów głosna sprawa Kazimierza nad Wisłą. Pomijam tu jednak zważywszy, jakie lazoży Stacha z Warty z miasteczkiem, w którym dawno temu dom sobie nawet wystawił na Albrechtówce, dziś zrujnowany, choć szkoda, bo Szukalski do legendy polskiego życia artystycznego przeszedł na pewno. Chodzi mi natomiast o to, że działalność tego rzeźbiarza i świetnego rysownika wykazuje przedziwne podobieństwo do naszych zabiegów wokół Kazimierza.

Szukalski pragnął odnowić wielkiego ducha Stojana-wczyzny poprzez sztukę nawinulaca do czasów Kraka-

l Bajbajoca, gdy tymczasem w jego własnej twórczości jest więcej z plastyki Dalekiego Wschodu i Ameryki Azteckiej. Chciał zainteresować współczesnych, faktycznie zainteresowanych bezkrytycznie na kulturę zachodniej Europy, Francji przede wszystkim, legendarnymi początkami tego organizmu, który miał zwać się Polska, a pisał dziejówkę odwołującą się do nieustraszonej stylizacji Polaków K wleku.

My zaś o Kazimierzu wyrażamy się z najwyższym szacunkiem, gdzieżby w publikacjach „o perle renesansu”, uruchamiamy (bardzo dobrze) kolejne muzea, w tym wnikłym galerię sztuki złotoczej, czuwamy, by dachy budynków kryć gontem, owoce obkładać winosmakiem, architektury lokalnej czy nalogólniej zgodnym z kameralnym charakterem miasteczka; konserwujemy poszczególne budowle — jednocześnie zaniebując rzeczy fundamentalne, decydujące o przetrwaniu zabytków, leżącej wielkiej wartości kulturowej tej okolicy na powierzchni ziemi. Oto od lat Kazimierz nie może doczekać się budowy oświatki obwodnicy, którą wyprowadziłby ciężki ruch kołowy z bezpośredniego sąsiedztwa rynku. Tędy właśnie, ulicami Lubelska i Nadreeczna, z potężnymi z roku na rok łoskotem toczą się ciężarówki i inne pojazdy, zmierzające z Puław w kierunku Opola i dalej do Sandomierza. W rezultacie rysują się mury kościoła fanego i świątynnych kamienie przyrynkowych oraz zrywkowych domów mieszkalnych, z których już teraz należałoby wykwaterować U rodzin.

Odpowiadając na poszczególne interpelacje w tej sprawie, ministrem komunikacji obiecał wynowienie prac przy obwodnicy w połowie bieżącego roku, czyli za dwa-trzy miesiące. Prasa codzienna informuje o planowanych pracach na ten temat. Chciałoby się wierzyc, że instytucje i ludzie, od których zależy fizyczne istnienie Kazimierza, nie ugodują nam kolelniej wersji takiej dziejówki w wielu zamroczach. Tymczasem nad Wisłą-muraj bajbajoc ogólny; szmatkiewicz chorego, wprawki, mu nawet godne pochwały protesty jakby nie chcąc, przyniosły do wiadomości, że powołanie delegata miu serce. Sam Jerzy Zarawski i inni kuzyni, którzy dźwiał, wani nie ugodują Kazimierza.

L. J. K.

OKOLICE SZTUKI

BAJBAJOC OGÓLNY

DZIEKI uprzejmości jednego z naszych czytelników zapoznałem się niedawno z grubym tomem (duży format), ujętym w czerwone kartonowe okładki, a opublikowanym przez wydawnictwo „Silesia” w latach trzydziestych. Dzieło nosiło tytuł „Krak”, syn „doli” i miało charakter „dziejówki w 18 odnośnikach”, czyli opowieści scenicznej w 18 odnośnikach. Jeśli naturalnie nie popełniłem omyłki w tłumaczeniu tego zrotu, na jednej z pierwszych kartek książki widniał eulogiczny portret autora w młodym, lecz już odpowiedzialnym wieku. Twarz pisarza otaczały długie lekko falujące włosy, dekoracyjna rama okalające blade, lecz pełne wyrazu oblicze z wydatnym nosem harmonijnie przebiegał uformowanym przez naturę. Nie ulegało wątpliwości, że owo przyjemność obwodzi z człowiekiem zdecydowanym o silnej osobowości. Wrażenie siły wzmacniały jeszcze rekinizy eksponowane na popiersiu postaci: emblemat O-gatego szera oraz szeroki skórzany pas z dekoracyjnymi

List z Rzeszowa

NA STOJĄCO

WZAMKU Lubomirskich od lat wzięcie, miasta samostatnie pomnika ma straszdyto. Taryszi się dźwiał, dźwiał burzą wodę w seklance, Rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej chce z marzą zamiek, zaspiekować na uniwersytet. Nie ma takiej instytucji! Nie sekodzi. Ambicjami niejednym plec rozpalono. Trziko co półnia! Marszałek oprócz bulawy chce mieć zamiek, żeby na am władac. Nauka jednak to nie pole bitwy. Sukcesy, cożka to się żmudnie i marudnie. Zapal to jeszcze nie cud. Mamy już inflację dyplomu wyższej uczelni. Czy trzeba ja porlebiać o inflacje tak szacownej nazwy, pojcieła ułwieżyć sietu? Nie pierzaki, sale, uroczyste pedowskie mity non potrzebne, a ludzie. Na najazd geniuszy na Rzeszów nie ma co liczyć. Poważne ostródki naukowe ekspozycja na prowincje tylko tych doentów, z którym nie wiedza, co poczaz. W braku wszelkich perspektyw każda propozycja przyjmują ci ludzie, jak awans. Wystarczy potem, że taki import ogrozi się żywopiotem miernot i jest już nowy.

nowy-wielki kierownik. A tu trzeba lat mobilizacji, wista księżek naukowych, patentów, samodzielnego myślenia, o które tak trudno w cieniu ministerialnej kiamki. Ostrzegam: niejednego Popieła zjadły młszy Biurokracji.

A literaci? Są juzy są i ani odrobine lepsi. Kibicowatu zalewacie członków zawodowego związku ludzi plóra, a nie puchu, kwasu, pretensji! Był nawet maly zamach stanu. Ktos napisał anonim, ktos kogos wybrał, lub nie wybrał, bo wypil lub nie wypil. Ktos napil na profesora, szepczal sam siebie. Oni sa nawet smiertelnie poważni, tyle, że żywo nudni. Ich polszczyzna jak zimowa woszczyczna, a styl manierystyczny, publicystyczny, gładki, śliski — żaden. Czesko gra idzie tylko o prestiż, o wygodne usadowienie się na galezi literatury, a nie o ambicje czelne. Życ jak bohater „Zbrodni i kary” z sunieniem z szarego wółboka, brzydkiem i nieziszczalnym: To latwe.

Czytałem przed laty o lokaju, który brał przedmowa do reki oglądał je, mówił tylko jedno słowo: imitacja. Z lekkiem obrzydzeniem to mówił. Czasem taka mi się wydaje współczesna sztuka, szczególnie ta urzędnicza, zornalizowana, zprezowana. Może coś w tym jest. Lub jest to tylko grymas zgrędy. Powstają plachty arkuszy dyktarskich, zacierzone gładkimi, spocynymi kolejkami do kasy.

A miasto? Stoł w kolejkach. Je byle co, mówi przepysznie. Ożywił się język potoczny. Jest soczysty jak bejszyk, pachnący jak świeże masło, ostry jak musztarda. Dusza miasta zmezczona, ale usmiechnięta. Emeryt czasem jak armia łaknienia, a dzieci zwyżaniem beczelino.

— Stają też godnie w młoc — młoc młoc
— W jakie zimno na jedzi?
— W sklepie stała kolejka, toci, co bez kolejki.

— Jak pani spędza wolny czas? — pytam spudła i kędziła w młoc.
— Jak wolny, co? pan! Ciepły czas gódel na coś stoję wleczorem z byle czego robie obiad. Jak sobie w prócz nie wypracuję, to wcale. Nie mam czasu nawet umrzeć, chyba żeby na stołca.

— Przyjechał Amerykan — mówią w karcie do młoc.
— I co z tego? — pytam.
— Młaja.
— Co młaja?
— Co się da, na niebiesko, szary, podłoz.
— Nie edrowale byłoby umyć?
— Farba szpobel, ledźlawa pan pistoilem...
— To na pokaz!
— Tak, bo on tu za czytałca zlechał, ten Amerykan. Jedna brgada to odzwał sili przed nim jakiś czas odzom i pustymi władrami o selaty frukt, plowazy, żeby wszystko, co żywe, poszło sobie choćby do młoc młoc.

Pumeks

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Rechrzyca-Rudnicka, Marek Adam Jaworski, redaktor naczelny; Zygmunt Mankowski, Marek Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Borlan, Mirosław Derecki, Edward Jasinski, Józef J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pajak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Dybek, Korektor — Marianna Obłoz, Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 36 zł. Prenumerata za ocenieniem wysyłki za granicę przynosi RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 40 zł. Prenumerata za ocenieniem wysyłki w Warszawie nr 113-20145-134-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla rzeczniczych instytucji i zakładów pracy. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmują interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12, w dniach w godz. 14-15. Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Pracowni w Lublinie ul. Jasna 4 tel. 253-24. Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Górnicza 4. PI ISBN 047-7143. Nr indeksu 1674. Adres redakcji: 20-020 Lublin, ul. Skłodowskiej 1A. Telefony sekretariatu redakcyjnego 850-99, sekretarza redakcji 218-01, działu publicystyki i literackiej 715-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-020 Lublin, skrzynka pocztowa 210; poleconae i ekspresowe — pod adresem redakcji.